ISSN 0137-8503

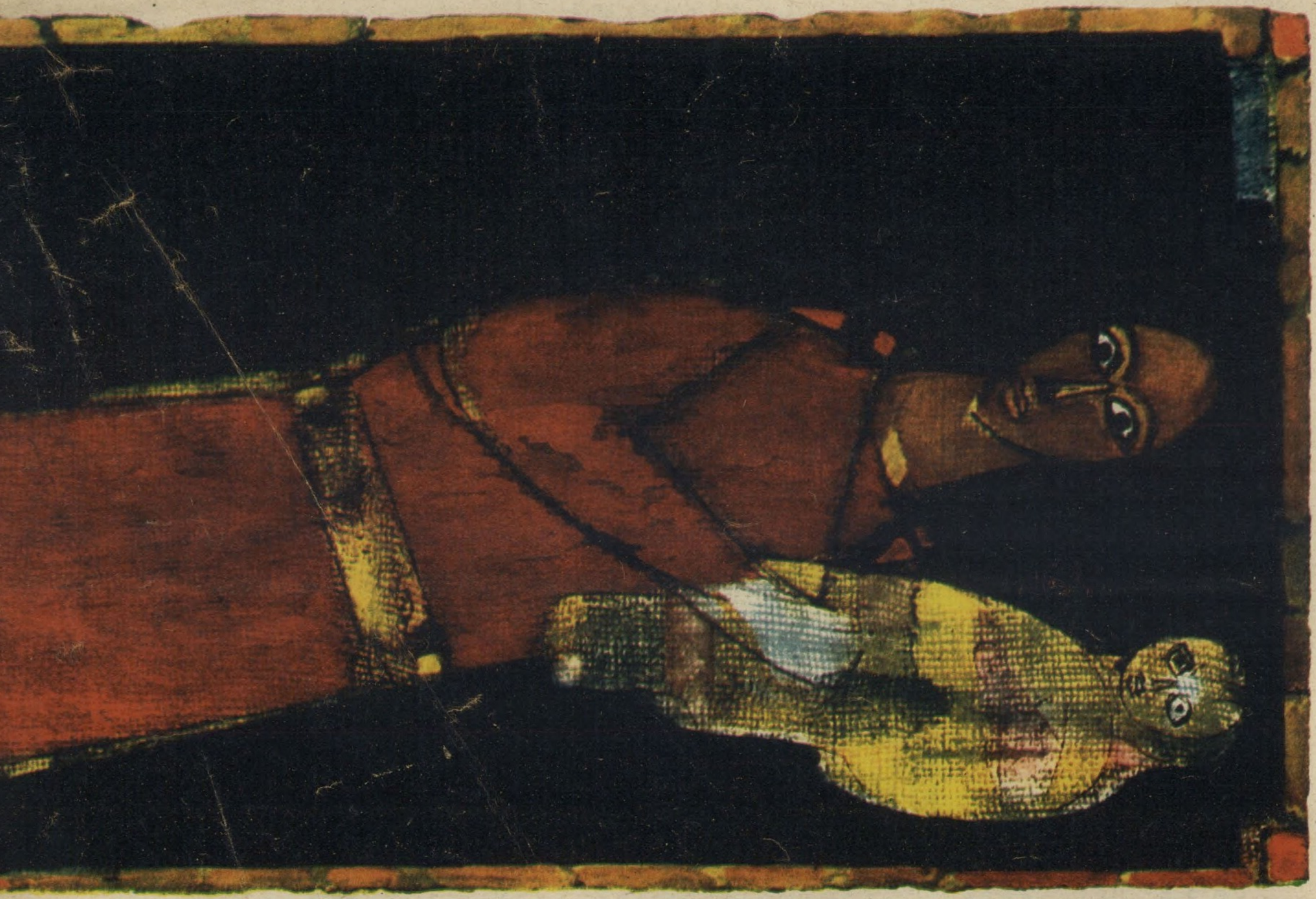

21

1985

TADEUSZ KULISIEWICZ – „Macierzyństwo" (z cyklu „Meksyk")

Na str. 9 – GWIAZDKA DLA MEKSYKU – nasza propozycja dla SAMORZĄDÓW UCZNIOWSKICH

POPRAWIĆ SMAK SZKOŁY

Rozmowa z profesorem Mikołajem Kozakiewiczem posłem na Sejm PRL

„Płomyk": – Panie profesorze, wielokrotnie z Panem rozmawialiśmy jako z przyjacielem i doradcą naszej redakcji, a od zeszłego roku jako z przewodniczącym Rady Redakcyjnej „Płomyka". Ale tym razem chcieliśmy porozmawiać jako z nowo wybranym posłem na Sejm. Serdecznie gratulujemy tej zaszczytnej godności, ale i... pracowitej funkcji. Jak Pan pogodzi swoje dotychczasowe liczne zawodowe i społeczne obowiązki z obowiązkami posła? Czy ma Pan jakiś sposób na zwiększanie wydajności pracy?

Prof. M. Kozakiewicz: – Najlepszym sposobem jest stałe doskonalenie organizacji pracy. Teraz, kiedy spadną na mnie różne poselskie powinności, będę musiał na nowo ułożyć siatkę swoich zajęć, czyli po nowemu porozstawiać meble. A ponieważ z góry wiem, że nie wszystko się pomieści w moim bardzo zagęszczonym planie zajęć, będę musiał poszerzać front pracy, przekazując część spraw swoim współpracownikom, a pozostając przy tym, co uznam za pierwszoplanowe.

„Płomyk": – Obowiązki poselskie bywają bardzo absorbujące.

Prof. M. Kozakiewicz: – Tak, i dlatego trzeba i tu umieć odróżnić sprawy pierwszoplanowe, najważniejsze i im poświęcać czas. Nie mam zamiaru być posłem od „przepalonych żarówek", czyli od spraw nie wymagających żadnych interwencji, tylko własnej zaradności.

„Płomyk": – Cofnijmy się jeszcze na chwilę do dni poprzedzających wybory. Czy w Pana przedwyborczych spotkaniach brali udział młodzi ludzie? Czy wysuwali pod Pana adresem jako przyszłego posła jakieś postulaty dotyczące spraw młodzieżowych?

Prof. M. Kozakiewicz: – Jako kandydat z listy krajowej uczestniczyłem w spotkaniach w wielu stronach kraju: od Suwalszczyzny po Jelenią Górę. A jako szczególnie zainteresowany sprawami młodzieży, oprócz spotkań z dorosłymi wyborcami, miałem też spotkania z młodzieżą, np. w środowisku starszoharcerskim nad jeziorem Wigry, a z młodzieżą szkolną w Technikum Elektronicznym w Warszawie na Żoliborzu. Była to młodzież starsza, która brała udział w wyborach. Spojrzenie tych młodych ludzi na sprawy kraju było bardzo poważne i dojrzałe. Mimo że są jeszcze uczniami, wybiegają myślą daleko poza szkołę. A więc niepokoi ich zapóźnienie techniczne naszego przemysłu, ślimacze tempo budownictwa mieszkaniowego, wciąż niedostateczna ochrona środowiska. Chcieliby oczywiście móc – ukończywszy szkołę – pracować w nowocześnie wyposażonych, racjonalnie zorganizowanych zakładach pracy.

„Płomyk": – Czy można im to zagwarantować?

Prof. M. Kozakiewicz: – Sam Sejm nie zlikwiduje zapóźnień czy też zaniedbań, choćby nawet najsłuszniejszymi uchwałami. Najlepszą gwarancją odmiany na lepsze są właśnie pokolenia młodych ludzi, którzy nie tylko chcą, żeby było inaczej, lepiej, ale mają też dość odwagi, uporu i wytrwałości, aby zrealizować swoje zamierzenia czy nawet marzenia. Sejm, posłowie muszą zaś czynić ze swej strony wszystko, żeby stwarzać warunki, w których obywatele będą chcieli i mogli dobrze pracować, przejawiać inicjatywę i odczuwać satysfakcję, że ich wysiłki nie idą na marne. Jako poseł chcę w taki właśnie sposób patrzeć na sprawy, którymi będę się zajmować.

„Płomyk": – A jakim sprawom chciałby Pan poświęcić szczególnie wiele uwagi?

Prof. M. Kozakiewicz: – Wszystkiemu, co wiąże się z oświatą i wychowaniem. Moim marzeniem jest POPRAWIĆ SMAK SZKOŁY. Chciałbym, żeby te kilkanaście lat, które dorastający człowiek spędza w szkole, nabrało żywszych barw, nowych smaków, żeby było lepszym fundamentem przyszłego dorosłego życia. Już w szkole musi się toczyć autentyczne życie. Szkołę trzeba ożywić. Nie może to być usztywniona, tradycyjna szkoła, której nikt nie lubi: ani uczniowie, ani nauczyciele, ani też rodzice.

„Płomyk" – A więc zmiana programów, podręczników?

Prof. M. Kozakiewicz: – Nie to nawet jest najważniejsze. Chodzi o to, żeby atmosferę szkolnego przymusu zastępować atmosferą dobrej woli, współdziałania uczniów i nauczycieli. W niektórych szkołach, na niektórych lekcjach tak już zresztą bywa. Są przecież nauczyciele, jak choćby płomykowi laureaci „Szkarłatnej Róży", którzy potrafią tworzyć nastrój współdziałania i wyzwalać dobrą wolę ze strony uczniów. Na pewno sprzyjałoby temu pozostawienie większej swobody i nauczycielom, i uczniom w wyborze tematów, którym chcieliby poświęcić więcej czasu niż pozwala obecny program, przy bardziej pobieżnym traktowaniu innych tematów.

„Płomyk": – No, a jeśli chodzi o warunki nauki?

Prof. M. Kozakiewicz: – Aby szkoła była atrakcyjna i „dała się lubić", musi być nowocześnie wyposażona.

„Płomyk" wydawany jest przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia". Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Włodzimierz Barchacz (fotoreporter)
Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Barbara Wiśniewska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)
Izabella Żur (redaktor techniczny)

RADA REDAKCYJNA:
Waldemar Andrzejewski
Krystyna Czernikiewicz
Marek Fiedorow
Zdzisław Kazimierczuk
Jerzy Kowalski
Mikołaj Kozakiewicz (przewodn.)
Ewa Nowacka
Zdzisław Nowak
Julian Radziewicz
Janina Solak
Magdalena Tyszka

Fot. E. Rylukowski

Bądźcie odważni, uparci i wytrwali w realizacji swoich marzeń!
Czytelnikom PŁOMYKA

1985.10.17

Komputery są nieodzowną pomocą w nauce, i to już w szkole podstawowej. Ale nie tylko to. Czy można czuć się dobrze w szkole zatłoczonej, mieszczącej w swoich murach trzy razy więcej młodzieży niż powinna? Jak w takiej szkole organizować życie pozalekcyjne, koła zainteresowań, a więc to, co może najbardziej zbliżyć uczniów między sobą i wiązać ze szkołą. Oczywiście są to w dużym stopniu marzenia, jeśli wziąć pod uwagę obecną sytuację w szkolnictwie i kryzysowe ubóstwo skarbu państwa. Ale mam nadzieję, że coś z tych marzeń będę mógł, a w każdym razie będę się wytrwale starał, zrealizować przez swoje posłowanie.

„Płomyk": – Pomoże w tym zainicjowany przez PRON Narodowy Czyn Pomocy Szkole.

Prof. M. Kozakiewicz: – Spodziewam się, że wiele będzie można osiągnąć dzięki społecznej pomocy, inicjatywie, ofiarności. I tak powinno być, żeby to, co Sejm rozważa, uznaje za słuszne, uchwalając odpowiednie akty prawne, było realizowane nie tylko przez administrację państwową, ale żeby też było wspierane obywatelską aktywnością. Wtedy naprawdę można liczyć, że się coś osiągnie.

„Płomyk": – Jest Pan przewodniczącym Towarzystwa Rozwoju Rodziny i od szeregu lat przewodniczy też Pan europejskiej sekcji federacji zrzeszającej stowarzyszenia podobne do naszego. Jakie są cele Towarzystwa Rozwoju Rodziny?

Prof. M. Kozakiewicz: – Jednym z celów TRR – i to może najbardziej zainteresuje Czytelników „Płomyka" – jest pomóc młodym ludziom pomyślnie przebyć okres dojrzewania. Realizujemy ten cel różnymi sposobami, np. organizując odczyty i pogadanki (również w szkołach) z zakresu wychowania seksualnego, prowadzimy poradnie, m.in. Poradnię Korespondencyjną TRR (w Warszawie, ul. Karowa 31), uruchomiliśmy w niektórych miastach tzw. Telefony Zaufania. Współdziałaliśmy z Ministerstwem Oświaty i Wychowania przy wprowadzaniu do szkół średnich przedmiotu przysposabiającego do życia w rodzinie – takiej rodzinie, której życie rozwija się harmonijnie, zgodnie z potrzebami wszystkich jej członków. Taka rodzina jest zdrowym ogniwem społeczeństwa.

„Płomyk": – Jest Pan ojcem dwojga dzieci, Daniela, jeszcze w wieku płomykowym, oraz Dominiki, właśnie rozpoczynającej wyższe studia. Ma Pan więc wgląd w sprawy współczesnych nastolatków nie tylko jako socjolog, psycholog, pedagog, ale również jako ojciec. Czy patrząc z tej perspektywy, mógłby Pan powiedzieć, co najbardziej dolega współczesnym nastolatkom w ich życiu? Dlaczego – o czym ciągle dowiadujemy się z listów naszych Czytelników – wielu młodych ludzi czuje się jakby na marginesie społecznego, szkolnego życia? Czego im najbardziej potrzeba, żeby nie czuli się wyizolowani, wyobcowani, żeby nie zamykali się jak żółwie w skorupie, nie ograniczali swej aktywności do dyskotek?

Prof. M. Kozakiewicz: – Nie będę mówił o Dominice i Danielu, bo im nie brak aktywności. Na ogół jednak aktywność zamiera wtedy, gdy brakuje pola do samodzielnego działania, kiedy brak wiary, że można mieć na coś wpływ, o czymś decydować, coś zrobić po swojemu, według własnej recepty, chęci i wyboru. Kiedy w rodzinie czy też w szkole brak partnerskich stosunków, kiedy młodzieży, a więc już nie dzieciom, mówi się wciąż: „to do ciebie nie należy", „nie ty będziesz o tym decydował", „nie filozofuj, rób, jak ci każę" – wtedy zamiast budzenia aktywności – następuje usypianie. Młody człowiek szuka sobie azylu choćby w dyskotece. Oczywiście nie tylko i nie każdy. Ci, którzy są ambitni, odważni, wytrwali nie zamkną się w żadnej ciasnej skorupie. Potrafią, zarówno w rodzinie, jak i w szkole, wyrobić sobie pozycję, zdobyć uznanie. Ale tym uśpionym, biernym wyobcowanym trzeba dodać wiary w ich własne siły i możliwości. Bo tego im właśnie najbardziej brak.

„Płomyk": – Panie Profesorze, nie przedłużam rozmowy, wiedząc, jak mało ma Pan czasu, ale chcielibyśmy móc jeszcze w przyszłości pokazać w „Płomyku", jak na sprawy młodzieży patrzy poseł Mikołaj Kozakiewicz już z sejmowej perspektywy. A może nasi Czytelnicy nadeślą jakieś pytania do Pana jako posła – przedstawiciela również ich interesów. Bo chyba czuje się Pan przedstawicielem i tych, którzy nie nabyli jeszcze praw wyborczych?

Prof. M. Kozakiewicz: – Oczywiście! Świadczy o tym cała nasza rozmowa.

„Płomyk": – Dziękujemy więc i zamawiamy się na następną

Rozmawiał Jan St. Kopczewski

KORCZAKOWCY

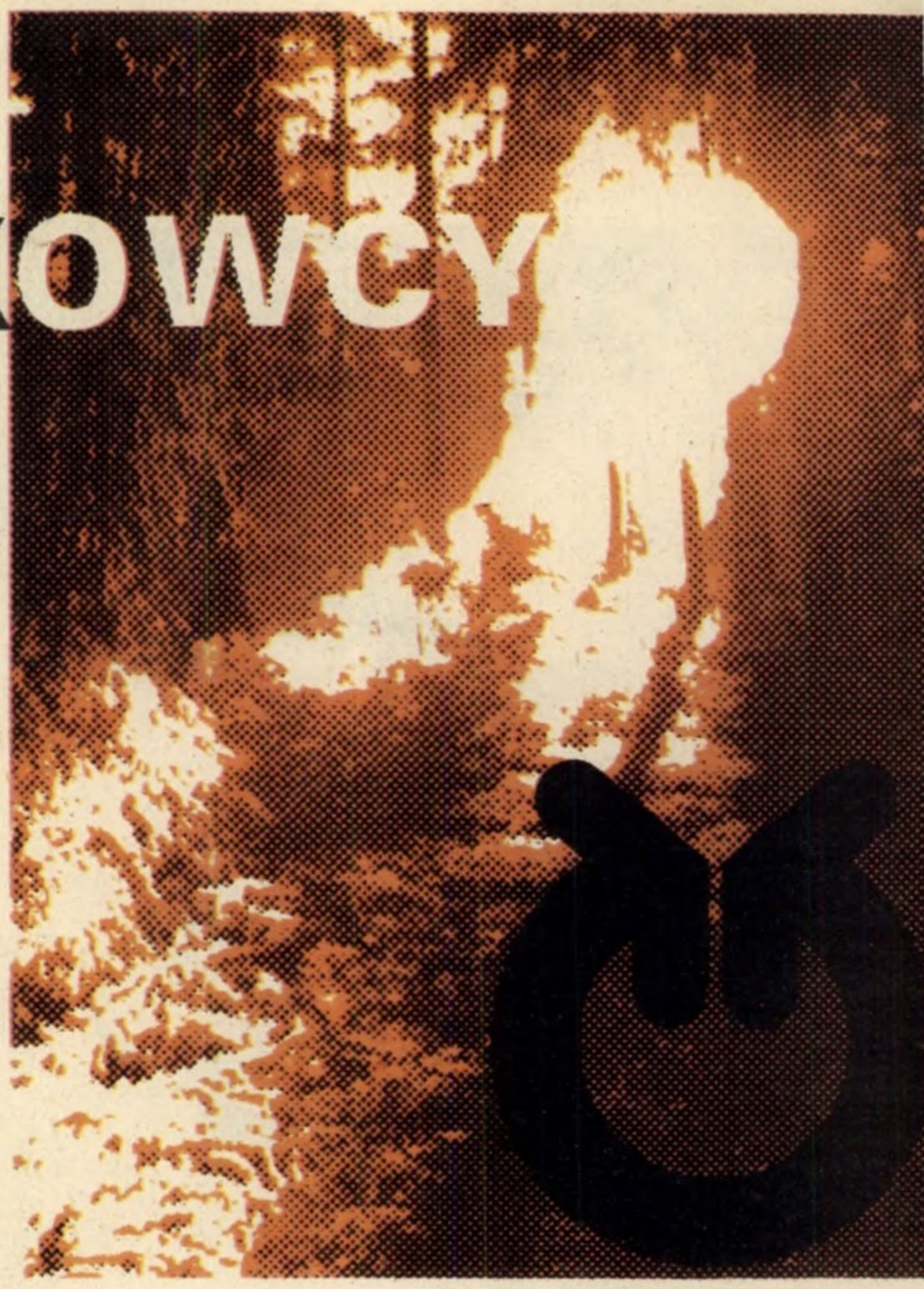

Znak Korczakowców

Kiedy Jerzemu Zgodzińskiemu, młodemu nauczycielowi, dopiero zaczynającemu we wrześniu 1961 r. pierwszą pracę po studiach, zaproponowano stworzenie w szkole drużyny harcerskiej, przystał na to z radością. Harcerstwo dawało mu szansę przedłużenia poza lekcje dialogu z młodzieżą, dawało możliwość znalezienia wspólnego języka, bo „druh" to jednak nie to samo co „profesor". Pierwsze zbiórki, pierwsze plany i od razu wielkie ambicje – dorównać Makusynom, znakomitemu zielonogórskiemu szczepowi prowadzonemu też przez nauczyciela, Zbigniewa Czarnucha. I gorączkowe szukanie koncepcji i... patrona.

Młody drużynowy-nauczyciel poznawał za dnia w praktyce tajniki nauczycielskiego zawodu i harcerskiego działania, a wieczorami szukał w książkach pomocnych myśli, wzorów do naśladowania. Tak trafił na pisma Korczaka i doznał olśnienia. Dzięki tej jego fascynacji życiem i spuścizną literacką Starego Doktora, jesienią 1961 roku został Janusz Korczak patronem 20 drużyny harcerskiej.

W przyszłym roku szczep drużyn starszoharcerskich „Korczakowcy" przy Zespole Szkół Samochodowych w Zielonej Górze obchodzić będzie jubileusz 25-lecia. Barwną i niezwykłą historię tego szczepu spiszą zapewne w grubym tomie wychowankowie druha komendanta Jerzego Zgodzińskiego, którzy, choć kończyli technikum samochodowe, nabrali od swego druha polonisty zapału również do pióra.

*

W lipcu 1969 roku, gdy świat cały emocjonował się lotem amerykańskich kosmonautów na Księżyc, zielonogórscy harcerze w pocie czoła budowali swoją letnią bazę – leśne państwo nad jeziorem Grzybno nie opodal Ośna Lubuskiego.

„Nasz Dom budujemy z myślą o tym, by nam wszystkim było w nim dobrze, by na każdej twarzy gościł uśmiech". Takie słowa m. in. zawierał akt erekcyjny zatopiony w jeziorze, akt nadający bazie nazwę „Korczakowo". Po 42-dniowym maratonie obozowym żegnali na rok własną, całkiem już niezle zagospodarowaną, harcerską republikę. Zaczęli od wykonania przecinek w lesie, potem wylewali betonowe płyty pod kuchnię i stołówkę.

Od Korczaka wzięte powiedzenia: „Ciągnij, kawalerze", „A ty pokochaj, co trudne" – zagrzewały do nadludzkiego nieraz wysiłku, np. przy odgruzowywaniu poniemieckiego bunkra. Urządzono w nim salę kominkową, a na dachu – bar „Rumowisko".

Zbudowali też owego pracowitego lata pomost nad jeziorem i plażę, i przystań żeglarską, postawili – własnego projektu, wykonane wcześniej w szkolnych warsztatach – trzy domki kempingowe przeznaczone na szefówkę, kor-radio i kor-prasę. Zbudowali wysoką bramę i leśny teatr na stokach wąwozu – bajecznie piękny „Amfikor" z widownią na 200 miejsc i kamienną sceną wśród paproci, ozdobioną w późniejszych latach ogromnymi rzeźbami-maskami.

Jak donoszą spisane żartobliwym tonem kroniki, z największą satysfakcją opuszczały obóz zastępy: „Po co my tu przyjechalim?" oraz „Szukam pracy".

Niejedną satysfakcję przeżyli wszyscy budowniczowie Korczakowa. I niezwykłe wzruszenia: ogniska przy każdej nowo ukończonej inwestycji, premierowe widowisko na scenie „Amfikoru" („Ojczyźnie – kwiat czerwony"), ślubowanie korczakowskie przed... pomnikiem Janusza Korczaka.

30 lipca 1969 roku odbyła się uroczystość odsłonięcia nad jeziorem Grzybno skromnego, kamiennego – ale pierwszego w świecie pomnika Starego Doktora. Autorem rzeźby był Bogdan Ślebodziński, wówczas uczeń technikum mechanicznego, a dziś znany w Zielonej Górze artysta-złotnik.

Podczas tego maratonu obozowego działał (według wzorców korczakowskich) Sejm i Sąd, znaleźli też pracowici Korczakowcy czas na opiekowanie się kolonią zuchową. Ukazywała się gazeta „W Słońcu", kor-radio umilało czas pracy stosowną muzyką i rejestrowało na taśmach wywiady z budowniczymi bazy. Wielu uczestników tego pionierskiego obozu uzyskało nadane przez Sejm kategorie obywatelskie: „Miłego Korczakowca" oraz „Zasłużonego Korczakowca"; nikt nie został zaliczony do kategorii niższej, tzn. „Uciążliwego towarzysza".

Kolejne lipce w Korczakowie to wzbogacanie bazy o nowe inwestycje: doprowadzono energię elektryczną, postawiono wieżę portową, zbudowano pomost na plaży i łaźnię nad jeziorem, stanęła na placu apelowym wieża prawowa, a w Alei Muz przybyło domków. Znalazły więc dach nad głową Korczakowski Klub Polihymnii, kor-film oraz ko-foto. Urokliwe leśne ścieżki otrzymały romantyczne nazwy: Aleja Księżycowa, Aleja Gałczyńskiego, Aleja Masek, Aleja Chwil...

*

Chwile to mają do siebie, że są ulotne. Ale Korczakowcy swą harcerską przygodę odmierzają nie na lata, miesiące, tygodnie, lecz właśnie na „chwile". Starają się je utrwalić na taśmie filmowej i błonie fotograficznej, we własnej gazecie, w piosence, w wierszu.

Chwilo z uśmiechem, chwilo z płomykiem,
Chwilo z jeziorem, chwilo z kamykiem,
Chwilo radości i chwilo cienia,
Chwilo nagłego zauroczenia.

„Łowienie chwil" przy ognisku – zawsze z druhem komendantem

Jak rozkołysany dzwon
Jest „Nasz Dom",
A każdy dzień to nowy ton.
Wróćcie chwile minionych dni,
Bije dzwon, bije dzwon...

Chwilo z biedronką, chwilo z poziomką,
Chwilo pod księżycem, chwilo w Korzonku,
Chwilo w szmaragdzie muzyką rzeźbiona,
Chwilo, gdy po pracy zmęczone ramiona.

Powstały przed kilkunastoma laty wiersz autorstwa „Bożki" – Bożeny Klepackiej – zasłużonej poetki i artystki scen korczakowskich – do dziś jest największym i ulubionym przebojem w Korczakowie. Towarzyszy wszystkim ogniskom – recytowany, śpiewany; najtrafniej chyba oddaje to, co dla Korczakowców najważniejsze – radość obcowania z przyrodą, radość wspólnego tworzenia w zaprzyjaźnionym kręgu „pełnych", ciekawych lipcowych dni.

Na bogactwo „chwil" w harcerskiej leśnej republice składa się fantazja, pomysłowość i pracowitość korczakowskiego ludu. Te właśnie cechy obowiązują prawdziwego Korczakowca, wysoko są punktowane przez Sejm, nadający kategorie obywatelskie, oraz przez Szefa (druha komendanta): nagradzane specjalną pocztówką, tzw. niezapominajką, wpisem do księgi „Dziękuję-przepraszam" bądź... osobistym uściskiem dłoni Szefa w wieczornym Kręgu.

Dla tych wyróżnień, ale pewnie bardziej dla osobistej satysfakcji obywatele republiki korczakowskiej, zamiast wylegiwać się godzinami na plaży, pracują. Praca w Korczakowie nie jest ciężkim obowiązkiem. Największą, najdotkliwszą karą mogłoby być odsunięcie od pracy w gromadzie.

A robić w Korczakowie można praktycznie wszystko. Więc kogo interesuje radio, znajdzie dla siebie wiele możliwości i jako technik, i jako meloman. Od nagrywania własnej listy przebojów oraz własnych reportaży – po fachową obsługę aparatury podczas wieczornego... koncertu na wodzie.

Kto marzy o karierze artysty estradowego, może się zaprezentować na scenie „Amfikoru" – również jako wykonawca własnego przeboju autor słów, muzyki, aranżer, solista w jednej osobie. Może nawet marzyć o sukcesie na Festiwalu Piosenki Naszej, zamykającym korczakowskie lipce.

Można wyreżyserować widowisko teatralne, scenę pantomimiczną, psychodramę lub kabaret. Można sięgnąć ambitnie do arcydzieł literatury światowej lub... równie ambitnie zaproponować własny, nie znany jeszcze światu utwór. W korczakowskich kronikach odnotowano sceniczne sukcesy „artystów" w sztukach Villona i Wyspiańskiego, Norwida i Gałczyńskiego, Korczaka i Mrożka.

W Korczakowie świętuje się Dzień Patrona

OPOWIEŚCI NASTOLATKÓW

LIŚCIE

Szli obok siebie. Nie razem, lecz obok. Ewa kiedyś myślała, że zawsze będą razem, a teraz najchętniej odwróciłaby się i poszła w innym kierunku. Sama... A może i nie sama. Ale na pewno bez niego.

Szli obok siebie. On coś głośno mówił, zawzięcie gestykulował, śmiał się hałaśliwie. Chyba tym właśnie sposobem bycia głuszył jej własne myśli, otumanił swoją pewnością siebie. Teraz powoli wyzwalała się spod tego złego uroku, który na nią rzucił.

Co on mówi?

– ... i dlatego uważam, że dziewczyny nie powinny nosić takich spodni. I ty także. Albo te krótkie włosy...

Dlaczego on się wtrąca? Kiedyś, gdy krytykował jej ubranie, miała do niego żal, ale z drugiej strony była zadowolona, że go jej ubiór interesuje. Kiedyś... kiedyś było inaczej.

– Ale ciuchcia!

Stanął i z zachwytem popatrzył na rozłożystego, srebrzącego się w słońcu mercedesa.

Czy on musi tak stać i gapić się z zachwytem na tę błyszczącą blaszkę?

Weszli do parku. Ewa wśród liści kłębiących się na ścieżce dojrzała piękny brązowoczerwony listek. I już prawie się schylała, żeby go podnieść, gdy on powiedział:

– Patrz, ile tych gnijących odpadów zleciało z drzew – i kopnął z rozmachem w sam środek stosu.

Liście rozpierzchły się po ścieżce.

Podeszli do budki z całuskami, zwabieni smakowitym zapachem świeżych ciasteczek.

– Chcesz całuska? Tylko, że nie mam forsy! – zarechotał z dobrego kawału. – Ale... mogę ci dać bezpłatnie i nachylił się nad nią.

Ewa odwróciła głowę. Nie mogę z nim wytrzymać. Kiedyś imponowała mi ta jego „męskość". Boże, jaka byłam głupia. Dlaczego wszystko tak się zmieniło? A może to ja się zmieniłam? Nie mogę już z nim wytrzymać! Powiedzieć mu o tym? Ale jak?

– Maciek...

– Co? Jednak chcesz całuska. Przyszła koza do woza! – objął ją ramieniem.

Wyrwała się, odwróciła i poszła w przeciwnym kierunku.

*

Jest teraz sama. Podniosła z ziemi kilka liści. Piękne. Jeszcze piękniejsze niż tamte... Zaczęła układać po dwa – jednakowej barwy i kształtu.

„Para goni parę. Czy to szczęście jest za karę" – zanuciła za Wandą i Bandą.

BEATA ze Szczecina

ANTYFEMINISTA

Początek roku szkolnego zbliżał się nieubłaganie szybko, toteż z radością przyjęłam propozycję naszych znajomych spędzenia trzech ostatnich dni sierpnia w Warszawie, aby w ten sposób wykorzystać wakacje do maksimum. Zaraz po przyjeździe ciocia Wanda uprzedziła mnie:

– Wiesz, Aniu, jest mi bardzo przykro, ale jestem tak zajęta, że dzisiaj przed południem muszę zostawić cię pod opieką Piotra.

– Ciociu, to straszne! – zażartowałam.

Piotr był studentem i prawie nie zwracał na mnie uwagi. Był przystojny, wysportowany... słowem: obiekt godny zainteresowania, ale już z pierwszych obserwacji wynikało, że trudno się będzie z nim dogadać, bo jest mruk, a poza tym – jak

Rys. JADWIGA LIPOWSKA

sam to zaraz na wstępie stwierdził – jest antyfeministą.

Kiedy tylko drzwi się za ciocią zamknęły, Piotr spytał:

– No to gdzie jedziemy? Bo przecież nie będziemy tu siedzieć.

– Do Łazienek! – zdecydowałam.

Łazienki tego dnia, jak zawsze zresztą, kiedy dzień słoneczny, były cudowne! Szliśmy nic nie mówiąc, a ja myślałam sobie: Jakie to romantyczne! Spacer z chłopakiem w Łazienkach. Nawet jeżeli to nie jest mój chłopak, to jest przecież ze mną!

Moje rozmyślania przerwał Piotr.

– Ja dziewczyn nie uznaję, dla mnie one nie istnieją. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym był dziewczyną. Chyba zapadłbym się pod ziemię ze wstydu!

– Drogi, uroczy Piotrusiu! – zawarczałam. – Rrracz zauważyć, że ja właśnie jestem dziewczyną, no i jakoś się nie zapadam.

Uśmiechnął się i nic nie odpowiedział, tylko tak się na mnie gapił, jakby rzeczywiście dopiero teraz odkrył, że jestem dziewczyną.

Wróciliśmy do domu. Piotrek zaczął pakować plecak, bo jeszcze tego samego wieczoru wyjeżdżał do Zakopanego. I wyjechał...

Przez dwa następne dni ciocia troskliwie się mną zajęła, ale jakoś pusto mi było bez tego antyfeministy. Wreszcie i na mnie przyszedł dzień odjazdu. Czas do szkoły...

W sobotę, już po uroczystym rozpoczęciu roku szkolnego, siedziałam przed telewizorem i zazdrościłam Piotrkowi, że ma jeszcze miesiąc wakacji. Nagle zadzwonił telefon:

– Zakopane, łączę! – usłyszałam głos w słuchawce...

– Halo! Kto mówi? – wołałam w słuchawkę.

– Cześć, Hanka – to ja... Piotrek – usłyszałam po chwili.

Aż przysiadłam ze zdumienia.

– Co się stało, Piotrek? Dlaczego dzwonisz?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że chyba przestałem być an-ty-fe-mi-ni-stą...

W tym momencie rozmowa się urwała, a po chwili usłyszałam głos telefonistki: „linia uszkodzona".

Odłożyłam słuchawkę. Oczy miałam wilgotne, ręce mi drżały, a serce podskakiwało do gardła. Słowem: typowe objawy niebezpiecznej, choć dość pospolitej choroby.

ANKA

OD REDAKCJI: trochę skróciliśmy tę waszą telefoniczną rozmowę i chyba przyznasz że słusznie, bo po co przytaczać całą rozmowę, kiedy to, co najważniejsze, już zostało powiedziane.

OPOWIEŚCI NASTOLATKÓW

GWIAZDKA DLA MEKSYKU

Zbliża się Miesiąc Gwiazdkowych Prezentów. W szkolnej tradycji ten prezentowy sezon rozpoczynają MIKOŁAJKI – miły obyczaj wzajemnego obdarowywania się jakimiś drobiazgami.

A może w tym roku odmienić ten zwyczaj i swoje kieszonkowe fundusze – zamiast na mikołajkowe prezenty dla kolegów z klasy – przeznaczyć na pomoc dla kolegów z Meksyku? A może później, w okresie karnawału, zorganizować np. „meksykańską loterię" lub „meksykański bal" czy też inną jakąś imprezę, z której dochód można by przeznaczyć na pomoc dla ofiar trzęsienia ziemi w Meksyku.

POMYŚLCIE o tym, SZKOLNI SAMORZĄDOWCY, a jak coś zorganizujecie – napiszcie do nas.

Propagowanie akcji GWIAZDKA DLA MEKSYKU rozpocznijcie od wycięcia napisu, który znajdziecie wewnątrz tego numeru. Jak i na czym umieścić wycięte litery, jak skomponować je z rysunkiem gwiazdki ozdobionej barwami narodowymi Meksyku, aby powstał z tego plakat – to już sprawa waszej pomysłowości. Niech plakaty propagujące tę akcję pojawią się we wszystkich szkołach! PIENIĄDZE uzyskane z akcji należy przekazywać na Polski Czerwony Krzyż na konto: NBP IV O/M Warszawa nr 1049-4444-132 z zaznaczeniem „Na pomoc dla Meksyku".

Po tragicznym trzęsieniu ziemi, jakie we wrześniu nawiedziło stolicę Meksyku, wiele krajów – w tym również Polska – organizuje pomoc dla ofiar tego kataklizmu. Przypomnijmy, że pod gruzami zwalonych domów zginęło ponad 30 tysięcy ludzi, a liczba rannych była o wiele większa. Dziesiątki tysięcy rodzin utraciły dach nad głową i cały swój dobytek. Była to jedna z najbardziej tragicznych katastrof spowodowanych trzęsieniem ziemi, jakie odnotowały kroniki XX wieku. Dlatego właśnie z wielu stron świata pośpieszono z pomocą, tym bardziej, że Meksyk jest krajem, który od dłuższego czasu boryka się z poważnymi trudnościami gospodarczymi (ma ponad 80 miliardów dolarów zadłużenia).

My, Polacy, jeszcze niedawno, w okresie najbardziej krytycznym dla naszej gospodarki, korzystaliśmy z pomocy innych krajów. Powinniśmy więc być szczególnie wrażliwi na biedę, jaka stała się teraz udziałem innych. Jeśli jesteście tego samego zdania – przystąpcie do akcji „Gwiazdka dla Meksyku".

Jedna z centralnych dzielnic stolicy Meksyku po wrześniowym trzęsieniu ziemi

SŁYNNE MIASTA ŚWIATA

PANAMA

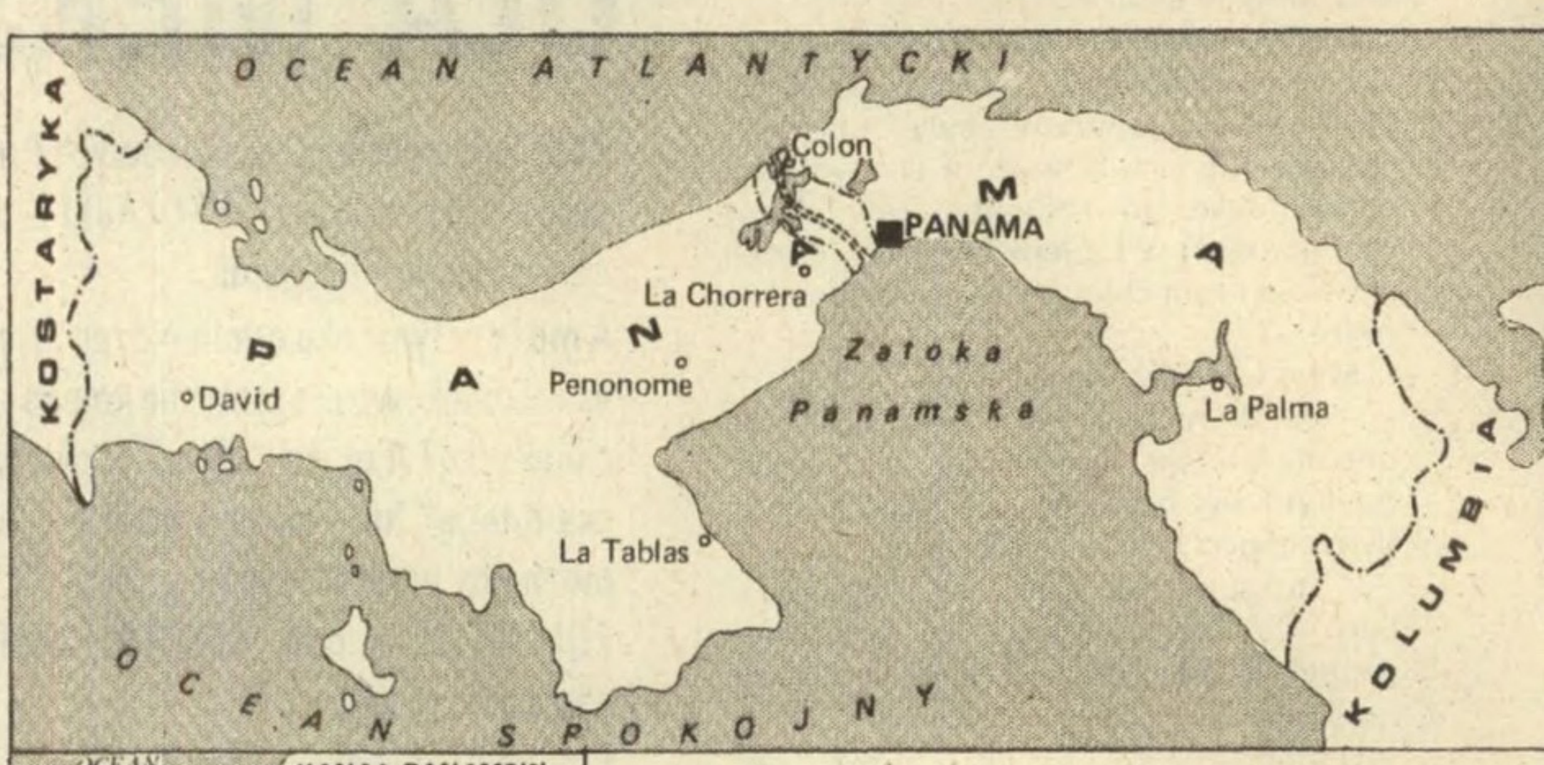

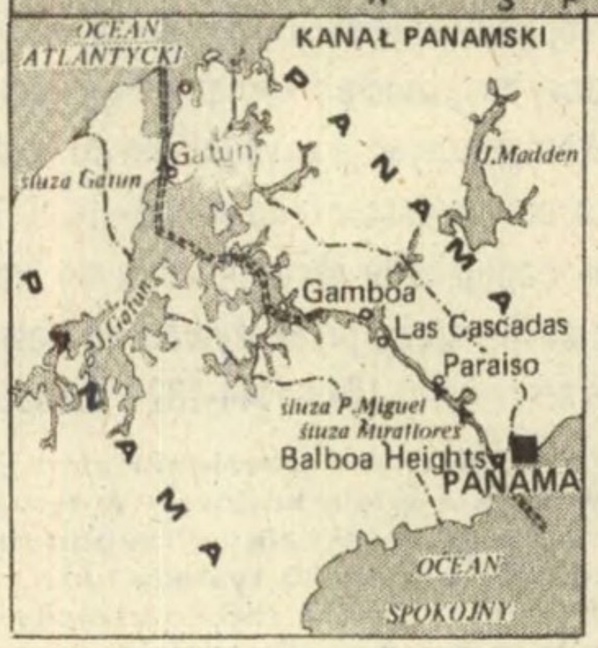

Rys. Krzysztof Dulkowski

JAK KŁADKA MIĘDZY OCEANAMI

Siedząc w samolocie, który wystartował ze stolicy Wenezueli – Caracas, myślałam – czym może mnie zaskoczyć Panama? Jest to najmniejszy kraj Ameryki Środkowej, gorący, tropikalny, język urzędowy hiszpański – a więc nic nowego. Ktokolwiek jednak myśli podobnie, popełnia błąd, ponieważ podobieństwa krajów Ameryki Łacińskiej są tylko pozorne. Każdy z nich ma odmienne warunki geograficzne, zróżnicowany skład etniczny ludności, klimat również nie zawsze odpowiada szerokości geograficznej. Kształtuje go wysokość nad poziomem morza; im wyżej, tym zimniej, nawet na równiku.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam wąski pasek lądu przerzucony jak kładka między dwoma oceanami. Zdawałoby się, że słone wody oceanów powinny mieć ten sam koloryt. A tymczasem Atlantyk od wschodu, a właściwie ta jego część, którą nazwano Morzem Kaspijskim, jest barwy jasnej zieleni prześwietlonej słońcem. Natomiast granatowoniebieski Ocean Spokojny od zachodu wydaje się głębszy i jakiś bardziej dostojny. Wzdłuż linii brzegowych, po jednej i drugiej stronie, widać liczne wyspy i wysepki rozrzucone jak paciorki korali.

Zaraz po wylądowaniu uderzył mnie obezwładniający upał. Zdawało mi się, że za chwilę od żaru powietrza zapali się na mnie sukienka, lekka zresztą, dostosowana do tropiku. Właśnie spadł deszcz. Krótka intensywna ulewa, jakby się chmura oberwała. Wszystko razem nie trwało pół godziny. Nagrzana płyta lotniska parowała białymi oparami. Po deszczowej wodzie nie zostało ani śladu, zrobiło się jeszcze bardziej duszno i parno, słońce znów wzięło w posiadanie ziemię.

Nowoczesne lotnisko z chłodzonym powietrzem, przestronnymi, dobrze wyposażonymi łazienkami, wygodnymi salami dla pasażerów i osób oczekujących jest dobrą wizytówką Panamy, chociaż niewiele ma wspólnego z codziennością tego kraju.

W jakiś czas później poznawałam Panamę od strony lądu. W samochodowej wyprawie z Meksyku, przez całą długość Ameryki Środkowej (zwanej również Centralną), Panama była ostatnim krajem Przesmyku, do którego zdążaliśmy. Było to możliwe dzięki szosie panamerykańskiej budowanej wielkim nakładem kosztów. Ten wąski ląd jest bowiem górzysty. Kordyliery ciągnące się przez cały kontynent obydwu Ameryk, od Alaski aż po Ziemię Ognistą, rozgałęziają się na terenie Panamy na poszczególne pasma pochodzenia wulkanicznego i chociaż są to góry niewielkie, niektóre ich szczyty, jak Chiriqui czy Cerro Pando, przekraczają 3 tys. metrów. Utworzone między górami zapadlisko, szerokie na ok. 55 kilometrów i nie przekraczające wysokością trzystu metrów, zadecydowało o losie Panamy. Zostało wykorzystane na budowę Kanału.

Szosa wiodąca od granicy z Kostaryką jest dobra, ma asfaltową nawierzchnię, wystarczy jednak – jak to się nam zdarzyło – zatrzymać się trochę dłużej, aby coś tam naprawić w silniku lub zmienić koło, i staje się oko w oko z selwą. Na skraju tego gorącego, równikowego lasu niewidoczne z szosy, ukryte w cieniu drzew ranchos z chrustu i gałęzi przypominają niedbałe szałasy. Ludzie wyniszczeni tropikalnymi chorobami, cera żółta, oczy podkrążone, błyszczące gorączką, policzki zapadnięte. Malaria. Widocznie przenieśli się tu znad jakichś bagien, uważając brzeg tej asfaltowej rzeki, jaką jest szosa, za znośniejsze miejsce bytowania.

W Panamie zajmującej tylko jedną czwartą powierzchni Polski (75 650 km²) część kraju położona na wschód od Strefy Kanału jest nie zagospodarowanym obszarem wilgotnego lasu i bagien. Stanowią one do dziś nieprzebytą zaporę uniemożliwiającą przeprowadzenie drogi mającej połączyć Amerykę Środkową z Ameryką Południową.

Kiedy w końcu po trudach podróży stanęliśmy w Ciudad de Panama, tzn. mieście Panama, mimo późnej pory obstąpił nas spory tłumek gapiów. Komentowali meksykańską tablicę rejestracyjną, nie wierzyli, że przejechaliśmy cztery i pół tysiąca kilometrów i to osobowym samochodem. W taką podróż wyrusza się zwykle terenowym dzipem lub ciężarówką, drogi są bowiem pełne niespodzianek. Po ulewnych deszczach powstają wyrwy wypełnione gęstym błotem, zwalone pnie uniemożliwiają przejazd.

Hotel z klimatyzacją szczęśliwie wyłącza nas z upału, ale tuż za jego progiem jaskrawość dnia atakuje oczy. Podobnie jak czasem u nas zimą mróz nie pozwala swobodnie oddychać, tak ten upał połączony z wilgocią wprost obezwładnia. Trzeba się przezwyciężyć i zmusić do normalnego chodzenia. A mimo to miasto Panama tętni życiem, jakby nikt nie czuł gorąca. Widać twarze hebanowoczarne obok jaśniejszych Mulatów, twarze wschodnie o skośnych oczach, Hindusi i biali przemieszani w tłumie.

Skąd się tu wzięli ci ludzie pochodzący z tak różnych i tak odległych od siebie stron świata? Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w przeszłości Panamy. Zwykle mówiąc o tym kraju mamy na myśli Kanał, a przecież najnowsza historia tego wąskiego skrawka lądu rozpoczęła się jeszcze przed budową Kanału.

W WALCE Z DŻUNGLĄ I MALARIĄ

W roku 1849 w Kalifornii odkryto złoto, a najkrótsza do niego droga, nie tylko z Europy, ale również ze wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, wiodła przez Panamę. Szybko zorientowano się, że przeprowadzenie drogi przecinającej Przesmyk oszczędzi niecierpliwym poszukiwaczom, ogarniętym gorączką złota,

wędrowanie lądem (ok. 5 tys. km) lub opływanie statkiem całej Ameryki Południowej. Droga taka powinna stać się dla mającej na nią koncesję firmy czymś w rodzaju żyły złota, ponieważ podróżni zapłacą każdą cenę za bilety kolei żelaznej.

Przystąpiono więc do realizacji planów budowy. Nie była to zwykła budowa, ale raczej bitwa wydana całej tropikalnej potędze. Towarzyszył jej wyczerpujący upał i tropikalne deszcze. Powietrze było przesycone wilgocią w takim stopniu, że chociaż deszcz przestawał padać, wszystko stale było mokre i pleśniejące. Atakowały choroby: malaria, żółta febra, dezynteria. Śmierć przynosiły jadowite pająki, węże, skorpiony.

Firma budowlana ściągała robotników z całego świata. Wielu z nich przystępowało do tej pracy tylko po to, aby jak naszybciej dostać się na drugą stronę zatoki; w wyścigu po złoto chcieli być pierwsi. Tylko niewielu się to udało. Miejscowi Indianie upadający ze zmęczenia umierali oparci o kilofy przy kopaniu, przywożeni na kontrakty Chińczycy, przerażeni światem tak różnym od tego, który znali – ginęli jak muchy. Pojedynczo zgłaszających się białych nawet nie rejestrowano, ponieważ większość z nich wytrzymywała najwyżej kilka miesięcy.

A droga szła naprzód. Na przekór wezbranym rzekom, niszczącym w ciągu godziny pracę wielu tygodni. Szła poprzez dżunglę dyszącą wilgocią, poprzez bagna i stawiające opór skały. Lokomotywa postępowała za ludźmi aż do granicy puszczy, dowożąc materiały budowlane. Nocami wywożono zmarłych, liczono chorych i rannych, ale przede wszystkim liczono wydarte dżungli metry drogi.

Budowa trwała pięć lat. Spółka Akcyjna Panama Rail Road szybko zwróciła sobie koszty, słono każąc płacić za bilety kolei żelaznej. Nie można było tylko przywrócić życia tym, którzy zginęli. Według przybliżonych danych, dwanaście tysięcy robotników zmarło przy tej budowie.

Dwadzieścia pięć lat później miastem Panama zawładnęła żółta febra. Śmierć szła z pobliskich bagien. Nie pomagały modne wówczas pigułki Hallowey importowane za drogie pieniądze i połykane w dużych ilościach. Codziennie przerażały wszystkich wiadomości podające liczbę zgonów.

Równocześnie zaczynała krążyć wiadomość o możliwości zawarcia przez Francuzów kontraktu na budowę Kanału z rządem Kolumbii, kraju, do którego wówczas należała Panama. Miasto było podniecone tą wiadomością. Mówiono o przyjeździe samego Lessepsa, wielkiego budowniczego Kanału Sueskiego. Co rozsądniejsi przypominali jednak o braku warunków sanitarnych w mieście. Budowa Kanału ściągnie do Panamy tysiące nowych ludzi. Gdzie będą mieszkać? Namioty nie rozwiążą sytuacji.

Kontrakt został podpisany i w styczniu 1880 roku przystąpiono do pierwszych przekopów. I znów podobnie jak przed dwudziestu pięciu laty, robotnicy wszystkich ras zaczęli napływać do Panamy. Mieszali się z wróżbitami, sprzedawcami „cudownych" leków na wszelkie dolegliwości, sztukmistrzami pokazującymi tresowane małpki i z zaklinaczami wężów. Kolorowy tłum wypełnił ulice Panamy, ulice błotniste, z drewnianymi chodnikami.

Miasto stwarzało pozory dobrobytu. Obok franków francuskich krążyły dolary amerykańskie, pesos kolumbijskie, rupie z Indii, a nawet stare złote floreny. Jednak brak warunków sanitarnych, upał i wilgoć robiły swoje. Obok panoszącej się żółtej febry – tyfus i dezynteria zbierały żniwo. Roboty przy Kanale postępowały coraz wolniej, aż w roku 1889 stanęły zupełnie.

Rezultat? Tysiące ludzi bez pracy i możliwości powrotu do swojej ojczyzny. Jaki był ciąg dalszy? Francuzi wycofali się z kontraktu. Ferdynand Lesseps poniósł klęskę, a przecież był doświadczonym budowniczym, miał za sobą chlubnie ukończony Kanał Sueski. Z dwudziestu jeden tysięcy ludzi posłanych przez Francję do budowy Kanału szesnaście tysięcy zmarło w ciągu pierwszych sześciu lat,

Przed podpisaniem nowego kontraktu w 1903 r. Stany Zjednoczone spowodowały oderwanie się Panamy od Kolumbii, aby sztucznie stworzone małe państwo bez oporu zaakceptowało podyktowane przez Amerykanów przyszłe warunki eksploatacji Kanału.

Tymczasem uczony kubański, Carlos Finlay, dokonał odkrycia, które zadecydowało, że rozpoczęta budowa Kanału mogła być ukończona. On właśnie dowiódł, że żółtą febrę przenoszą komary, a selwa panamska była ich idealną wylęgarnią. Nim więc Amerykanie po wykupieniu rozpoczętej budowy przystąpili do prac w 1904 r., wysłali ekipy, których zadaniem było rozpylenie owadobójczych środków na bagnach i podmokłych terenach, gdzie lęgły się miliardy komarów. Z bagien przestała przychodzić śmierć. Udostępniono również nieskażoną, zdrową wodę pitną i zapewniono odpowiednie warunki sanitarne. Dopiero wtedy ruszyły roboty, które zostały zakończone w sierpniu 1914 r., a więc w trzydzieści cztery lata od rozpoczęcia budowy.

PAŃSTWO – MIASTO – KANAŁ

Skład ludności Panamy jest odbiciem tamtych czasów. Tysiące ludzi pozostało na tej ziemi, wielu z nich z konieczności. Niezależnie jednak od tego, skąd przybyli ich przodkowie – z Europy, Azji czy Afryki – potomkowie tych cudzoziemców stali się Panamczykami, patriotami Panamy. I oni upomnieli się w końcu o sprawiedliwy podział dochodu, jaki przynosi Kanał.

Jedni z pierwszych podjęli tę sprawę studenci uniwersytetu panamskiego.

Przeprawa przez Kanał Panamski. Widać śluzy Miraflores, a w głębi jezioro o tej samej nazwie

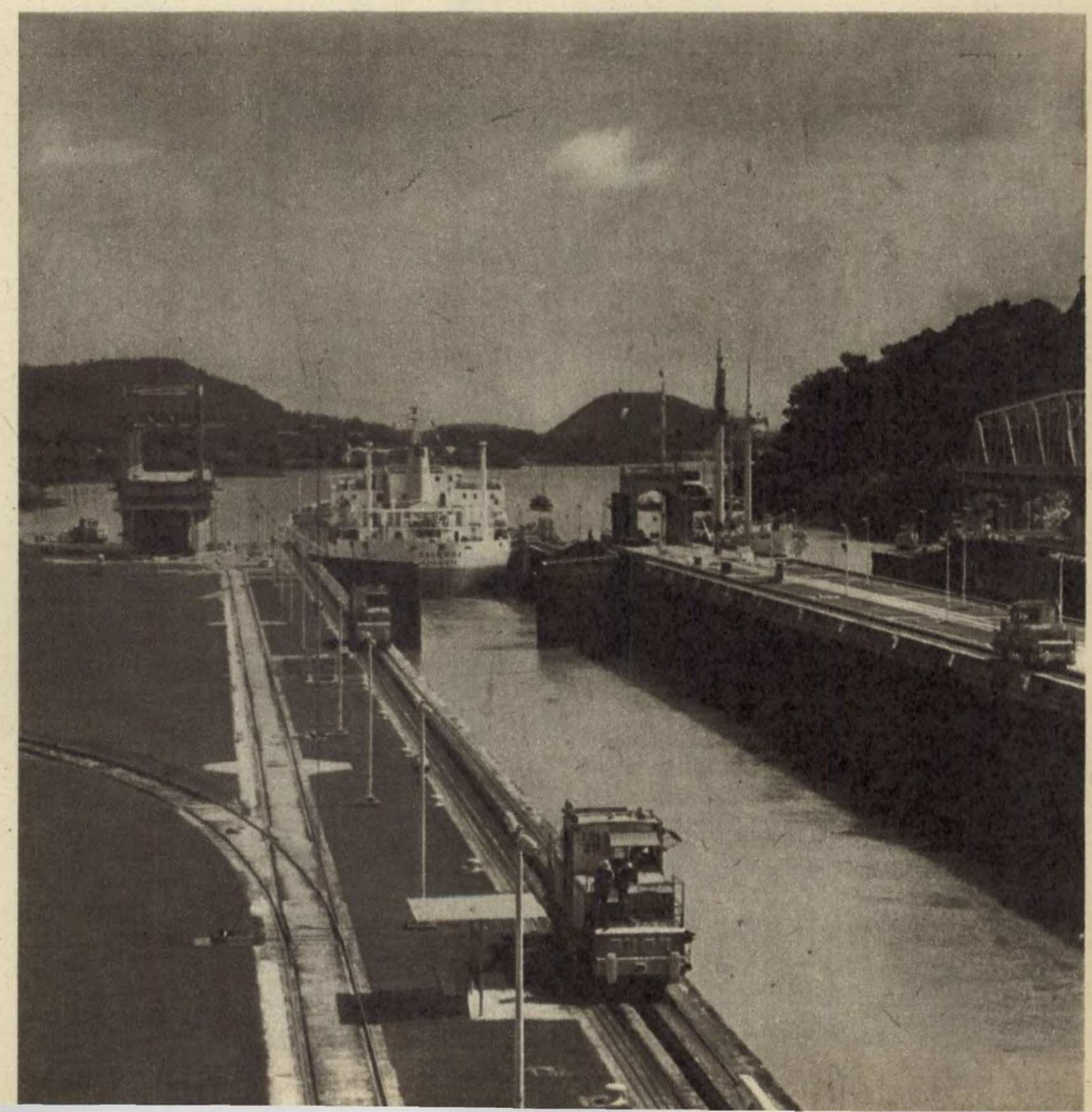

Okazało się, że Stany Zjednoczone uzyskiwały w ciągu roku z eksploatacji Kanału przeciętnie 70 milionów dolarów, z czego Panama otrzymywała zaledwie 2,3 mln.

W 1964 r. doszło do protestów ludności przeciwko takiemu krzywdzącemu stanowi rzeczy. Wystąpiono również przeciw istnieniu wyłączonej z terytorium Panamy Strefy Kanału. Uznano to za państwo w państwie. Podczas rozruchów wielu było zabitych i rannych, co jeszcze bardziej wzburzyło Panamczyków.

Dzień 11 października 1968 roku stał się przełomową datą w historii Panamy. Szefem rządu został wówczas Omar Torrijos Herrera, a przeprowadzane przez niego zmiany miały charakter rewolucyjny: zwolnienie więźniów politycznych, reforma rolna, zmiana systemu podatkowego. Dalsze przemiany zahamowała śmierć Torrijosa, który zginął w katastrofie lotniczej małej awionetki. Przypuszczano, że mógł to być zamach na niego.

Ale rozpoczęte już bardzo trudne negocjacje pomiędzy Panamą i Stanami Zjednoczonymi trwały nadal. Wreszcie utworzona została dziewięcioosobowa Komisja Kanału Panamskiego (5 Amerykanów i 4 Panamczyków) regulująca sporne sprawy. Najważniejsze, że Panama uzyskuje obecnie znacznie wyższe zyski z opłat wnoszonych przez statki za przejście kanału. Teren Strefy Kanału został włączony w granice suwerennego państwa Panama, a po roku 2000 pełną kontrolę nad Kanałem mają przejąć Panamczycy.

Położenie Panamy sprzyja rozwojowi handlu. Miasto, które skupia jedną trzecią

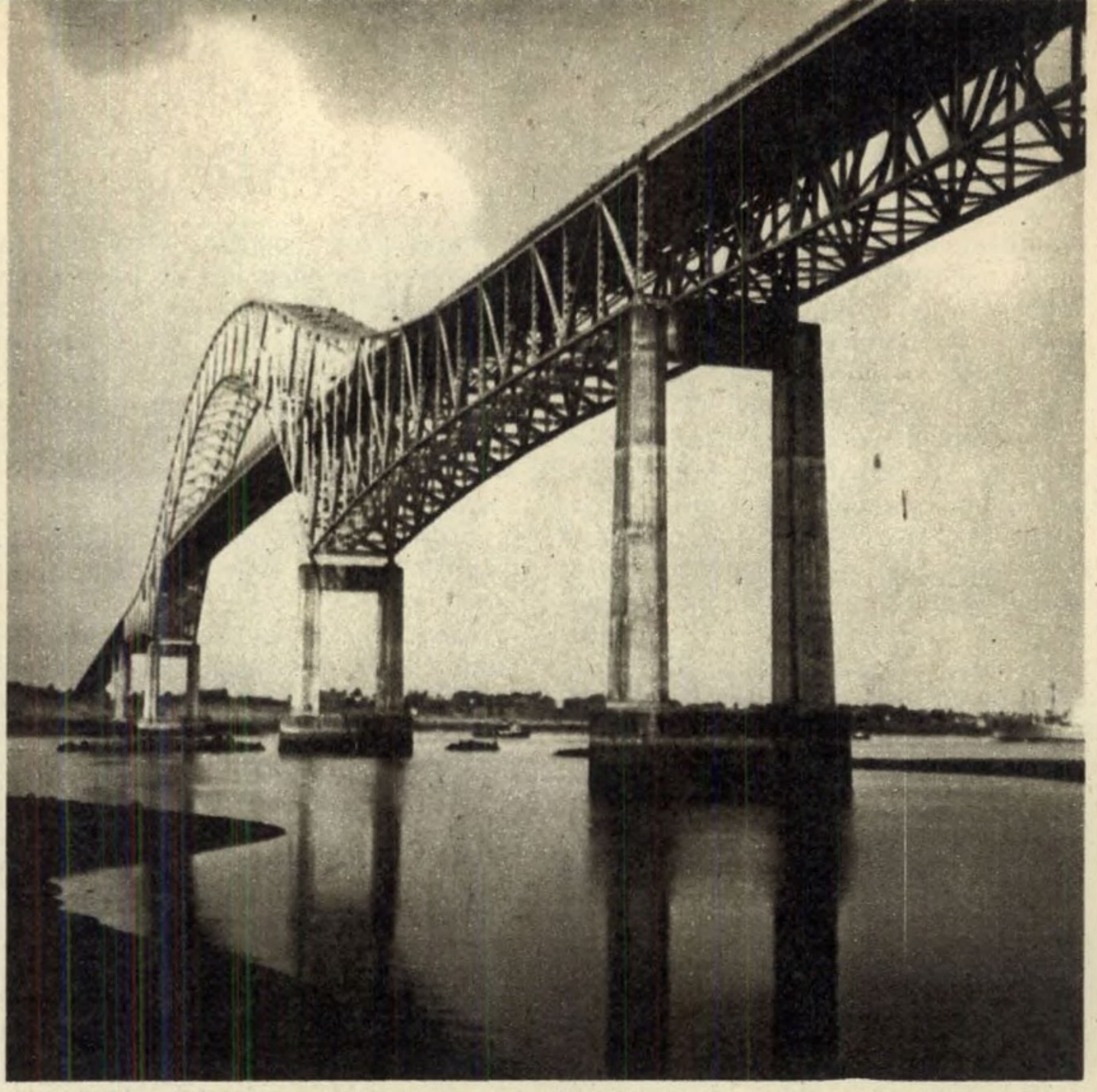

Most obu Ameryk. Tędy prowadzi droga panamerykańska

ludności kraju (ok. pół miliona), przypomina wielką wystawę towarów sprowadzanych z całego świata. W sklepach hinduskich przedmioty z kości słoniowej, hafty, pufy, parawany rzeźbione w szlachetnym drewnie i inne wschodnie cuda. Weszłam, aby kupić parę sandałków. Przy wejściu wielki, miedziany gong, w głębi sklepu mały ołtarzyk, na którym tli się jakieś wonne kadzidło, przypominające świątynie Dalekiego Wschodu. Ale szczupła dziewczyna w sari, z wymalowanym czerwonym znaczkiem na czole, sprawnie posługuje się komputerkiem przy liczeniu.

Japończycy sprzedają nowoczesny sprzęt radiowo-telewizyjny, Syryjczycy i Libańczycy konfekcję i tekstylia. W sklepach spożywczych całe klany rodzinne Chińczyków obsługują klientów, darząc jednakowym półuśmiechem tych, co wydają wiele i tych, którzy, podobnie jak ja, robią zupełnie drobne zakupy.

Raz w roku, podczas karnawału, bardzo skromnego zresztą w porównaniu np. z karnawałem w Rio, zobaczyć można, jak to różnorodne społeczeństwo Panamy utrzymuje ciągle jeszcze swoje dawne tradycje. Chińskie smoki pląsają w takt piskliwej muzyki obok smukłych hinduskich księżniczek. Dudnią bębny rytmem, jaki tylko czarne ręce są zdolne wydobyć z pokrytego napiętą skórą tam-tamu. Zagubiona harmonia i skrzypce, przywiezione kiedyś przez jakiegoś Europejczyka, dostosowały się do tropikalnego rytmu. Są i hiszpańskie senoritas w długich, pięknie haftowanych spódnicach.

Cała ta mieszanka bazaru wschodniego, kolonialnej hiszpańszczyzny i afrykańskiej żywiołowości ustępuje jednak miejsca uporządkowanej i zmechanizowanej Strefie Kanału, bez którego Panama byłaby najbiedniejszym z biednych, małym, nie liczącym się krajem, a właściwie nigdy by nie powstała jako państwo.

Zielone centrum Panamy

PRZEPRAWA PRZEZ KANAŁ

Kanał Panamski, obsługiwany obecnie przez piętnaście tysięcy wykwalifikowanych pracowników, umożliwia statkom skracanie (średnio o jedną trzecią) długotrwałych podróży wokół kontynentu

– Ty dobrze rzucasz, Williamie E.

– Naprawdę?

– Jasne. Właśnie podziwiałam twój styl. Pewno się tego gdzieś uczyłeś?

Przekrzywił głowę ze zdziwieniem.

– Nie? Sam się nauczyłeś?

Poważnie pokiwał głową.

– O rany, człowieku, masz wrodzony talent. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

Wyprostował swoje chude ramiona i pomaszerował po schodach z taką dumą, jakby był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Ciągle jeszcze puszczali samolot, a raczej robił to W.E., Gilly zaś przyglądała się i od czasu do czasu rzucała pełne podziwu uwagi, kiedy Trotterowa i pan Randolph wyszli na werandę.

Musisz popatrzeć. William Ernest świetnie puszcza samolot.

W.E. wspiął się samodzielnie na betonowy słupek. Teraz już nie potrzebował Gilly pomocy.

– Patrzcie – powiedział cicho. – Tylko popatrzcie.

Pan Randolph uniósł w górę swą niewidzącą twarz.

– Co to jest, synku?

– Gilly zrobiła mu papierowy samolot, coś w tym rodzaju – wyjaśniła Trotterowa.

– A, rozumiem, rozumiem.

– Patrzcie teraz.

– Patrzymy, złotko.

W.E. odchylił się w tył i rzucił – „bach". Samolocik wykonał jeszcze jeden spiralny, ślizgający się, wznoszący i opadający niezwykły lot.

Pani Trotter westchnęła, gdy samolot wdzięcznie wylądował przy krawężniku. William Ernest podbiegł, żeby go podnieść.

– I jak było? – spytał pan Randolph.

– Mówię panu, czasem to wielka szkoda, że pan nie widzi. Zawsze myślałam, że papierowe samoloty są tylko po to, żeby je puszczać na lekcjach i denerwować nauczycieli. – Odwróciła się do Gilly: – To jest coś.

Gilly poczuła, że się czerwieni, ale W.E. wszedł po schodach i ją wybawił.

– To dlatego, że ja tak dobrze rzucam – powiedział.

– No, jasne – potwierdziła Gilly. – Rzucasz znakomicie.

Spojrzał jej w twarz zmrużonymi oczkami, pełnymi czystej radości.

– Dziękuję – powiedziała cicho pani Trotter.

Przez chwilę Gilly patrzyła na nią, potem szybko się odwróciła, tak jak się odwraca człowiek od jaskrawego słonecznego blasku.

– Czy mam odprowadzić pana Randolpha do domu? – spytała.

– Dziękuję, panienko Gilly. Byłbym bardzo wdzięczny.

Wzięła go za łokieć i sprowadziła ostrożnie po schodach, pilnując, żeby się nie obejrzeć, ponieważ wyraz twarzy Trotterowej był taki, o jakim Gilly – w głębi duszy – marzyła przez całe życie. Ale przecież nie chciała go widzieć u kogoś takiego jak Trotterowa. To nie zgadzało się z jej planem.

PANNA HARRIS

Pod koniec października Gilly wyrównała braki i wysforowała się na czoło klasy. Starała się sobie wmówić, że zapędziła pannę Harris w kozi róg i że teraz może się spodziewać samych piątek. Na pewno musi być głupio tej wyfiokowanej małpie pisać pod pracą kogoś, kto jej w oczywisty sposób nie lubi, takie przyjemne uwagi jak: „Świetne", „Dobrze pomyślane" czy „Bardzo dobre".

Pieniądze. Na wpół spadła, na wpół zeszkoczyła z fotela i podniosła banknoty. Dwa pięciodolarowe banknoty wypadły zza tomu: *Sarsaparylla – sztuki magiczne*. Odłożyła encyklopedię i przyjrzała się starym, pomiętym banknotom. Akurat teraz, kiedy tak bardzo potrzebuje pieniędzy, spadają z nieba. Jak w bajce. Dziesięć dolarów daleko jej nie zawiezie, ale być może ukryto ich tu więcej. Jeszcze raz wspięła się na fotel, wyciągając się, na ile tylko mogła. Wszystko na nic. Sięgała wprawdzie górnej półki końcami palców, ale jej pozycja była zbyt chwiejna, a dolne półki zbyt rozklekotane, żeby się po nich wspiąć.

Ciężkie kroki zadudniły na werandzie. Otworzyły się frontowe drzwi.

– Wszystko w porządku, złotko?

Gilly o mało się nie przewróciła, skacząc na dół. Porwała tom *Sarsaparylla – Sztuki magiczne* z siedzenia fotela i natężając się, wsunęła książkę na swoje miejsce na półce. W samą porę. Stała na siedzeniu, kiedy pani Trotter pojawiła się w drzwiach.

– Strasznie długo cię nie było – powiedziała. – A później pan Randolph przypomniał sobie, że żarówki mogą być przepalone. Często o nich zapomina, skoro i tak nic mu nie dają.

– Tu jest światło – odburknęła Gilly. – Gdyby nie było, już dawno bym wróciła. Nie jestem taka tępa.

– Już to słyszałam – odparła sucho pani Trotter. – No i co, znalazłaś jakąś książkę, żeby poczytać panu Randolphowi?

– To kupa śmieci.

– Dla jednego kupa śmieci, dla drugiego cenne skarby – zauważyła Trotterowa irytująco opanowanym głosem, podchodząc jednocześnie do niższej półki. Wyciągnęła gruby, oprawiony w skórkę tom i zdmuchnęła z niego kurz. – Pan Randolph jest wielkim miłośnikiem poezji. – Wręczyła książkę Gilly, wciąż jeszcze przycupniętej na fotelu. – Usiłowałam mu to czytać w zeszłym roku, ale... – jej głos zabrzmiał dość nieśmiało – sama nie jestem znów taka dobra w czytaniu, jak pewno zauważyłaś.

Gilly zeskoczyła na podłogę. Wciąż rozzłoszczona na Trotterową za to, że przyszła, była jednak ciekawa, jakiego rodzaju poezję lubi stary Randolph. *Oksfordzka księga poezji angielskiej*. Przerzuciła kilka stron, ale przy słabej żarówce nie odróżniała słów.

– Idziemy?

– Tak, tak – odparła niecierpliwie.

Z wyprostowaną głową, żeby jej nie skusiło obejrzeć się na *Sarsaparyllę*, poszła za panią Trotter z powrotem do domu.

– Jaka to książka?

Twarz pana Randolpha przypominała twarz dziecka, które dostało właśnie prezent i zaczyna go rozpakowywać. Siedział na samym skraju dużego brązowego fotela.

– *Oksfordzka księga poezji angielskiej* – wymamrotała Gilly.

Przechylił głowę na bok.

– Słucham?

– Wiersze, które czytaliśmy w zeszłym roku – powiedziała pani Trotter podniesionym głosem, jak zwykle, kiedy mówiła do pana Randolpha.

– Wspaniale, wspaniale – rzekł rozsiadając się wygodnie w fotelu, tak że jego krótkie nogi nie dotykały wytartego dywanika.

Gilly otworzyła książkę. Przerzuciła kilka stron i odnalazła pierwszy wiersz.

– *Pieśń kukułki* – odczytała głośno tytuł.

To nawet przyjemne uczucie, że potrafi się robić dobrze coś, czego nie umie nikt z pozostałych. Później spojrzała na wiersz.

Co to jest? Po jakiemu to-to? Zrozumiałe jest tylko jedno słowo: kuku. Chyba kuku na muniu!

– Chwileczkę – mruknęła, przewracając stronę.

W jakim to języku? Niby po angielsku, ale nie sposób tego zrozumieć.

Szybko spojrzała na następną: To samo!

Z trzaskiem zamknęła książkę. Oczywiście krył się tu jakiś podstęp. Chcą, żeby wyszła na idiotkę. No, proszę, pan Randolph się śmieje.

– To nie jest po angielsku! – wrzasnęła. – Robicie ze mnie idiotkę.

– Ależ skąd, panienko Gilly. Nikt nie ma takiego zamiaru. Na początku książki jest bardzo stara angielszczyzna. Proszę spóbować trochę dalej.

– Pewno chciałby pan Wordswortha? – spytała Trotterowa. – Czy też zna go pan na pamięć?

– Tak – odrzekł z zadowoleniem.

Pani Trotter podeszła i pochyliła się nad Gilly, która siedziała na taborecie od pianina.

– Sama znajdę – powiedziała Gilly, odsuwając książkę z zasięgu pani Trotter. – Jak się nazywa?

– William Wordsworth – odparł pan Randolph. – „Pamiętam, kiedy łąki, gaiki, ruczaje..."

Założywszy ręce na piersi, mówił głosem już nie znękanym, lecz miękkim i ciepłym. Gilly odnalazła właściwą stronę i zaczęła czytać:

Pamiętam, kiedy łąki, gaiki, ruczaje,
Ziemia i wszelki widok pospolity
Tako mi się zdaje
W jasność niebiańską spowity
Jako sen świeży i solenny wzajem

Przerwała na chwilę, jakby wsłuchując się w echo własnych słów.

– „Inaczej dziś..." – powiedział aksamitny głos pana Randolpha.

Inaczej dziś niż kiedyś bywało:
Gdzie się nie wybiorę,
W dzień czy w nocy porę...

Poprawiając się w fotelu, pan Randolph dołączył do niej i wyrecytowali jednym głosem:

Z rzeczy ongiś widzianych widzę dziś tak mało

I tak to szło. Pan Randolph słuchał w zachwyceniu przez chwilę, a potem łączył jej głos ze swoim w chór.

Czytała:

Rodzimy się w marzenie i w zapominanie,
A dusza, co jak gniazda z nami się rozpala,
Gdzie indziej ma mieszkanie
I przybywa z dala:
Nie wszystko zapomniała
I nie naga cała...

I razem:

Bo niczym niebieskie chmury
Od Bogaśmy przyszli, z góry...

„Bo niczym niebieskie chmury". Muzyka słów uniosła się i uderzyła w Gilly jak fale uderzają w piasek.

To był długi wiersz. Ponad siedem stron drobnego druku. Nie rozumiała naprawdę jego znaczenia. Jednakże pan Randolph znał na pamięć chyba każde słowo, podpowiadając delikatnie, kiedy się zacięła na nie znanym wyrazie i łącząc się z nią, z mocą, melodyjnie przy swych ulubionych wersach.

Chórem zabrzmiały ostatnie linijki:

Dzięki sercu czułemu, co nam daje życie,
Dzięki jego tkliwości, wiośnie i jesieni,
We mnie kwiatek najbardziej nikczemny, gdy się zmieni,
Rodzi myśli – przed łzami utajone skrycie.*

* Przełożył Jan Zieliński.

Gilly uśmiechnęła się do niej 300-watowym uśmiechem, opracowanym specjalnie dla zachwycania przybranych rodziców.

– Cudownie! – prawie zaśpiewała.

Włożyła naczynia do zlewu, odkręciła wodę, ale doszła do wniosku, że to już przesada. Trotterowa może zacząć coś podejrzewać.

Roztańczonym krokiem wypadła z kuchni i po okrążeniu schodów wbiegła do pokoju, gdzie W.E., siedząc na podłodze, oglądał w telewizji „Sesame Street". Usiadła obok niego i kiedy spojrzał na nią niepewnie kątem oka, uśmiechnęła się do niego siostrzanym uśmiechem, udając, że jest zachwycona filmem. Nie odezwała się w trakcie „Sesame Street", „Sąsiedztwa pana Rogera" i „Towarzystwa Elektryfikacji", od czasu do czasu jedynie podśpiewywała do wtóru piosenkom, w przyjacielski sposób uśmiechając się za każdym razem, kiedy przyłapała Williama na obserwowaniu jej spod oka.

Plan działał. Kiedy nadeszła pora kolacji, spytała Williama Ernesta:

– Chcesz nakryć do stołu czy iść po pana Randolpha? – a on odpowiedział, niemal się nie zająknąwszy:

– Iść po pana Randolpha.

Gilly nakryła do stołu w kuchni, podśpiewując pod nosem temat z „Sesame Street". Po kolacji zaś zrobiła dla W.E. samolot z papieru i namówiła go, żeby wyszedł z nią na werandę i wypróbował go.

W.E. zmrużył swoje krótkowzroczne oczka, zmarszczył zadarty nos, odchylił rękę daleko do tyłu i z całej siły puścił samolot.

– Bach! – szepnął.

Samolot poleciał w dół, nagle został uniesiony prądem powietrznym i poszybował nad ich głowami, zrobił pętlę i gładko opadł na trawę.

W.E. zwrócił na Gilly błyszczące oczy.

– Widziałaś? – spytał cicho. – Widziałaś?

– Fantastycznie.

Gilly pobiegła i podniosła samolot. Najlepszy, jaki kiedykolwiek udało jej się zrobić. Wspięła się na betonowy słupek werandy i uniosła rękę. Zmieniła zamiar.

– Ty rzuć, Williamie Ernescie, dobrze?

Zeszła na dół i podsadziła go na słupek. Chwiał się niepewnie, spoglądając w dół, najwyraźniej zbyt przestraszony, żeby ruszyć stopą.

– Patrz, przytrzymam cię, na pewno nie spadniesz, stary.

Lekko objęła dłońmi jego kostki. Poczuła jak się rozluźnił pod jej dotykiem. Wychylił się w tył i rzucił.

– Bach! – zawołał troszkę głośniej niż przedtem, rzucając biały samolot z niebieskimi kreskami na wysokość – no, prawie na wysokość domu. Samolot zrobił pętlę, pofrunął do góry, zniżył lot, wreszcie opadł na krzak azalii w ogrodzie pana Randolpha.

William Ernest zszedł ze słupka, potem po schodach. Ogrodzenie zatrzymało go, lecz nie na długo. Widać było, że nigdy w życiu nie przełaził przez parkan i dużo szybciej byłoby, gdyby poszedł naokoło, przez furtkę, ale wybrał najkrótszą drogę do swego cudownego samolotu.

Upadł w ogród pana Randolpha w taki sposób, że jedna ręka i noga znalazły się tam prędzej niż pozostała para, pozbierał się jednak od razu i delikatnie wyplątał zabawkę z krzaka. Odwrócił się i nieśmiało uśmiechnął do Gilly, a potem, jakby niósł królewski klejnot, powoli ruszył ścieżką pana Randolpha, wszedł na chodnik i wrócił przez furtkę do domu.

W połowie ścieżki coś powiedział.

– Co mówisz? – spytała Gilly.

– Powiedziałem – żyły na szyi nabrzmiały mu od wysiłku, żeby odezwać się głośniej – powiedziałem, że on wspaniale lata.

Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, pomyślała Gilly z uśmiechem, nie zastanawiając się tym razem nad doborem jakiegoś specjalnego uśmiechu.

Po śniadaniu Gilly pozwoliła, żeby Agnes kręciła się za nią po boisku niczym zagubiony psiak. W pewnym momencie Agnes nieśmiało zaryzykowała:

– Hej, Gil... – lecz Gilly obróciła się do niej z tak przerażliwym spojrzeniem, że reszty słów nie było.

Kiedy zaś Gilly wyszła ze szkoły, Anges bez słowa ruszyła za nią. W drodze pod górę Agnes z trudem nadążała za przesadnie wielkimi krokami Gilly. Doszły do domu pani Trotter i Gilly weszła do środka. Kiedy zamykała za sobą brudną białą furtkę, Agnes dotknęła jej ręki i podała kartkę, na której było napisane: *Kiedy mogę się odezwać?*

Gilly uśmiechnęła się łaskawie.

– Zobaczymy – powiedziała. – Zobaczymy, jak się będziesz sprawować.

Agnes otworzyła usta, jak zagłodzone pisklę, ale nie zaświergotała. Dobry ptaszek. Gilly poklepała chudą piegowatą rękę i ruszyła do drzwi, zostawiając za furtką rozdziawione pisklę.

– To ty, Williamie Erneście, złotko?

– To ja, Maime Trotter, kotku – pisnęła Gilly.

Z kuchni dobiegł ją donośny śmiech Trotterowej.

– Chodź tu i weź sobie coś do jedzenia, Gilly, złotko.

Gilly postanowiła nie ulec pokusie. Nie jest taka głupia, żeby się sprzedać za jedzenie, nawet jeśli jest bardzo głodna. Pomaszerowała po schodach na górę, obok otwartych drzwi do kuchni, przez które zaleciał ją zapach czekoladowych ciastek. Niech cię diabli, Maime Trotter!

Później, za starannie zamkniętymi drzwiami, Gilly wyciągnęła z komody pieniądze. Następnie wysunęła całą szufladę i przewróciła ją na łóżku do góry dnem. Wygładziła banknoty na dnie szuflady, wyjęła z kieszeni taśmę klejącą, którą udało jej się ukraść z biurka panny Harris, i przylepiła banknoty do dna szuflady.

Bez ostrzeżenia drzwi otwarły się na oścież. Gilly, żeby zakryć pieniądze, rzuciła się całym ciałem na szufladę.

Żabiooki William Ernest stał na progu, starając się utrzymać prosto małą tacę z talerzem ciastek i szklanką mleka.

– Co, do cholery? – wrzasnęła Gilly.

– Tr-tr-tr-tr-Trotter...

Tyle tylko potrafił wyjąkać. Trząsł tacą tak mocno, że szklanka z mlekiem o mało się nie przewróciła.

– Postaw to, głupku.

Oczy W.E. omiotły pokój w przerażeniu. Gilly czuła się jak idiotka, leżąc na szufladzie. Uniosła się nieco, odwróciła szufladę, usiadła prosto i obróciła się w stronę chłopca.

– Trotterowa nigdy ci nie mówiła, żeby najpierw pukać?

Kiwnął głową, z szeroko otwartymi oczami, trzęsąc tacą.

Gilly westchnęła. Cóż to za dziwaczny dzieciak.

– Dobra – powiedziała wyciągając rękę. – Daj mi tę tacę.

Wcisnął jej tacę w ręce i z hałasem zbiegł po schodach. Gilly z powrotem odwróciła szufladę, robiąc z niej stół i postawiła na niej mleko i ciastka. Zamknęła drzwi, a potem usiadła na łóżku i zaczęła jeść. Dziękuję, dziękuję bardzo, Maime Trotter. Co za wspaniałe ciastka. Pyszne, człowieku, naprawdę pyszne.

Natchnienie przyszło w połowie ostatniego ciastka. Nie wykorzysta Agnes Stokes, do niej nie można mieć za grosz zaufania. Wykorzysta Williama Ernesta. No, jasne. Złotko Trotterowej wciągnięte w świat przestępstwa. Roześmiała się na głos z radości. Dzidziuś Teaque, żabiooki złodziej. Dzikooki William, mafioso z kurzym móżdżkiem. Możliwości nieograniczone i wspaniałe. Karzełek mafii. Pomarańczowy Oszust. Nie. Pomarańczowy Sikacz.

Zeskoczyła z łóżka uporządkowała pokój, po czym zbiegła tanecznym krokiem po schodach, trzymając tacę wysoko nad głową w jednej ręce, i wpadła do kuchni.

Trotterowa spojrzała znad stołu, gdzie kładła łyżką ciasto na blachę, i zrobiła do niej oko.

– Jak tam, lepiej?

Pan Randolph westchnął przeciągle:

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powiedział cicho.

– Pięknie czyta, nie ma co.

Pani Trotter uśmiechała się z dumą, jakby to była po części i jej zasługa.

Jej uśmiech zirytował Gilly. Dobrze czyta, bo tak sobie kiedyś postanowiła. W chwili, kiedy ta głupia nauczycielka w pierwszej klasie powiedziała pani Dixon, że jej zdaniem Gilly może być „opóźniona", Gilly postanowiła, że się ta stara papuga zakrztusi własnymi słowami. Tak się też stało. Na Boże Narodzenie Gilly czytała o niebo lepiej niż cała zasmarkana klasa. I tak nic nie pomogło. Nauczycielka, pani Gorman, dosadnie wytłumaczyła pani Dixon, że mając dwadzieścioro pięcioro dzieci pod opieką, nie może poświęcać więcej czasu jednemu dziecku. Gilly musi się nauczyć cierpliwości i współdziałania. To wszystko.

– I jakież zdanie o panu Wordsworth, panienko Gilly? – spytał pan Randolph, przerywając jej rozzłoszczone myśli.

– Idiotyzm – odpowiedziała, myśląc raczej o pani Gorman.

Na jego twarzy odbił się bolesny wyraz.

– Przypuszczam – wymówił swym znękanym, ugrzecznionym głosem – że trudno po przeczytaniu jednego wiersza...

– Na przykład tu – Gilly czuła się teraz zmuszona do podtrzymania wyrażonej opinii, chociaż w gruncie rzeczy wcale tak nie myślała – na przykład tu, na końcu: „kwiatek najbardziej nikczemny". Co u diabła... Co to ma znaczyć? Kto słyszał o „nikczemnym" kwiatku?

Pan Randolph uspokoił się.

– Słowo to ma więcej niż jedno znaczenie, panienko Gilly... Tutaj poeta mówi o skromności, mniejszości, a nie – roześmiał się cicho – nie o złej naturze.

Gilly zaczerwieniła się.

– Nigdy nie widziałam poza tym, żeby kwiat się zmieniał.

– Dmuchawce!

Wszyscy obrócili się, żeby spojrzeć na Williama Ernesta, nie tyle zaskoczeni jego rzadko słyszanym głosem, co faktem, że wszyscy troje zapomnieli zupełnie o jego obecności. Siedział na podłodze obok kanapy ze skrzyżowanymi nogami niby krótkowzroczny guru*, mrugający zza okularów.

– No, proszę. – Głos pani Trotter zagrzmiał triumfalnie. – Dmuchawce, co? Czyż to nie doskonałe? Genialne.

W.E. schował głowę za poręcz kanapy.

– Przypuszczalnie o tym właśnie kwiecie pisał Wordsworth – stwierdził pan Randolph. – To najskromniejszy kwiat ze wszystkich.

– Niewątpliwie najskromniejszy – radośnie zgodziła się pani Trotter. – I zmienia się rzeczywiście.

Zwróciła się w stronę Gilly, jakby w poszukiwaniu potwierdzenia, lecz na widok twarzy Gilly uśmiech zamarł jej na ustach.

– Czy mogę już iść?

Głos Gilly był ostry jak wyszczerbiony brzeg wieczka od puszki konserw.

Pani Trotter przytaknęła:

– Oczywiście – powiedziała cicho.

– Jestem wdzięczny bardziej niż...

Lecz Gilly nie zamierzała wysłuchiwać wyrazów wdzięczności pana Randolpha. Pobiegła po schodach do swego pokoju. Bezpieczna za zamkniętymi drzwiami, wyciągnęła z kieszeni dwa banknoty i, leżąc na łóżku, wygładzała je. Schowa je pod bielizną, na razie, dopóki nie wymyśli lepszego miejsca, a jutro dowie się na dworcu autobusowym o cenę biletu w jedną stronę do San Francisco.

---

* Guru (ind.) – nauczyciel, mistrz, przewodnik duchowy w sprawach religii i moralności.

KLUB KRĄŻĄCEJ KSIĄŻKI

przedstawia głosy miłośników książek ARKADEGO FIEDLERA i ADAMA BAHDAJA.

O tych dwóch znakomitych autorach, zmarłych w tym roku, pisaliśmy w nrze 12.

Dziękuję Ci, Fiedlerze!

Gdy miałam dziesięć, jedenaście lat, zaczęłam bardzo interesować się morzem i żeglarstwem morskim. Wtedy właśnie wpadła mi w ręce książka **„Dziękuję ci, kapitanie"**. Zainteresował mnie jej tytuł i już po kilku dniach miałam tę książkę w swej biblioteczce. Pochłonęłam ją bardzo szybko, śmiejąc się do łez z „figlów" Raka, podziwiając niespożyte siły życiowe smarownika Łozy, a nade wszystko pęczniejąc z dumy, gdy czytałam o bohaterstwie polskich kapitanów, pod osłoną nocy uprowadzających swe statki z portów-pułapek Kadaku czy Dakaru. Odrobinę pompatyczny styl Fiedlera trafiał mi do serca, podsycał patriotyzm i nie ukrywam, mile łechtał mą dumę narodową.
Barwne, kipiące życiem, radosne i miejscami humorystyczne opowieści składające się na tę książkę, urzekły mnie tak, że **„Dziękuję ci, kapitanie"** jest do dziś jedną z moich ulubionych książek, do których często wracam.
Dziękuję Ci, Fiedlerze!

Marysia Kossowska (16 lat)
z Wrocławia

Jak w motylim raju

Arkady Fiedler był i jest moim ulubionym autorem. Przeczytałam wszystkie jego książki, o których istnieniu wiem. Każda z nich była świetna. Ale zrecenzuję tylko jedną – **„Motyle mego życia"**
Książka jest wspaniała! Dotąd nie wiem, czy jest to książka naukowa czy przygodowa, a może to powieść o miłości człowieka do motyli i wszystkiego, co żyje na tym świecie? Piękno dziewiczej przyrody odurza, pobudza wyobraźnię, jest jak fantastyczny i niezapomniany sen.
Autor opisuje wiele ciekawych przygód towarzyszących zdobywaniu motyli ale nie to jest najważniejsze. Opisy puszczy i jej bogactwa są wspaniałe i trafiają wprost do głębi serca. Pochłaniając tę książkę, widziałam oczami wyobraźni przelatujące

Powiesc tę Arkady Fiedler napisał na podstawie autobiografii tytułowego bohatera – Indianina ze szczepu Czarnych Stóp.
Książka opisuje codzienne życie plemion indiańskich – wędrówki, polowania i walki, uroczystości i obrzędy. I nagle do tego życia wkraczają biali – chciwi i nieuczciwi, oszukańcy i zdziercy, niesprawiedliwi sędziowie. Burzą życie Indian. Pragną zagarnąć jak najwięcej ziemi – jeśli nie po dobrej woli, to wybijaniem zwierzyny, paleniem i łupieniem wigwamów, mordowaniem...
Dlaczego te dwa światy – świat białych i czerwonoskórych – nie mogły istnieć obok siebie? Dlaczego biali pokazali się od tak złej strony? Dlaczego Indianie musieli przegrywać? Czy ten świat prerii, świat wigwamów, ognisk, dzikich tariów, pióropuszy, łuków i tomahawków, świat braterstwa krwi (ukochany i wymarzony przez niejednego z nas w dzieciństwie – nie tylko przez chłopców, o nie!) musiał przepaść?
Polska też była rozdarta i rozgrabiona, ale dane jej było się odrodzić. A krajowi Indian los nie dał tyle szczęścia. Dzieje Indian to żywy obraz niesprawiedliwości, przemocy zła nad dobrem. Dlaczego w tym przypadku nie sprawdza się piękna dewiza, że zło musi przegrać, że dobro zawsze zwycięży?!
Oj, coś za dużo tych pytań jak na moją głowę. Lecz właśnie dlatego, że tyle ich powstało – książka ta utkwiła mi w pamięci. Jakiś mądry człowiek, zdaje mi się, że Jean Cocteau, powiedział (bądź napisał): „Dobra książka stawia w umysłach ludzkich znaki zapytania". A więc **„Mały Bizon"** na pewno jest książką dobrą.

Sabina Rembiasz (lat 14)
z Węglewa w woj. poznańskim

Czytając te książki, duchem byłam w innym świecie – z dala od gwarnych ulic, a także od trudnych problemów cywilizacji, od codzienności atomowej. Przez cały czas przeżywania losów bohaterów byłam z nimi bardzo mocno związana. Wyzwoliło to we mnie chęć przeżycia przygód, o jakich dawniej nigdy nie myślałam.
Arkady Fiedler we wspaniały, barwny sposób opisał dzieje człowieka na bezludnej wyspie. Człowieka, który znalazł się na niej w podobnych okolicznościach jak Robinson Cruzoe z powieści Daniela Defoe. Bohater na cześć tego wielkiego podróżnika nazwał „swoją" wyspę – Wyspą Robinsona. Życie na bezludnej wyspie było bardzo ciężkie i pełne niebezpieczeństw. Jednak nasz bohater wierzył i miał nadzieję, że ocaleje. To pomogło mu przetrwać najcięższe chwile, zanim spotkał Indian – mieszkańców sąsiedniej wyspy i zaprzyjaźnił się z nimi. Biały Jaguar, bo takie imię przybrał bohater powieści Fiedlera, został bratem Indian i ich wielkim wodzem. Wszyscy członkowie plemienia pokochali go za nie spotykaną odwagę i dobroć, a przede wszystkim za wiarę i nadzieję, których to cech ich nauczył.
Także i ja po przeczytaniu tych trzech książek Arkadego Fiedlera poczułam, że mocniej wierzę we własne siły, w to, że sama potrafię komuś pomóc, coś złego zwalczyć. Arkady Fiedler – wspaniały człowiek i pisarz, jako pierwszy w moim życiu autor pozostawił w moich myślach i charakterze coś więcej niż tylko wspomnienie dobrej lektury.

Malwina Zajdzik (14 lat)
z Krosna

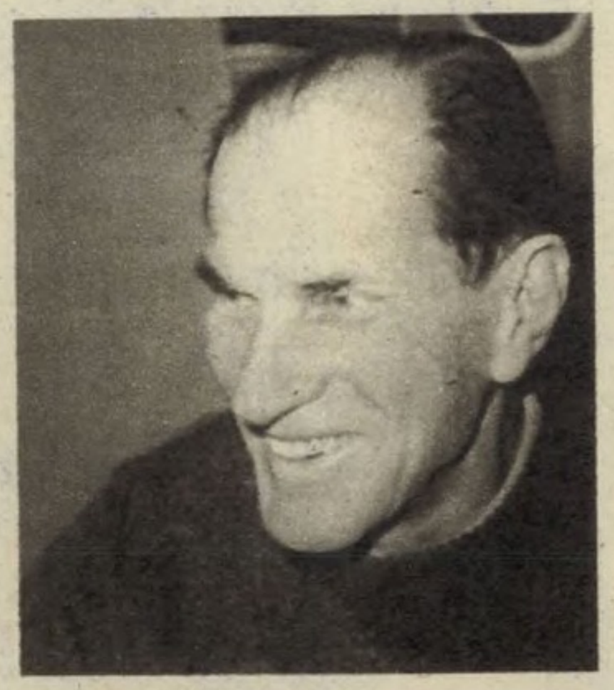

ARKADY FIEDLER (1894–1985)

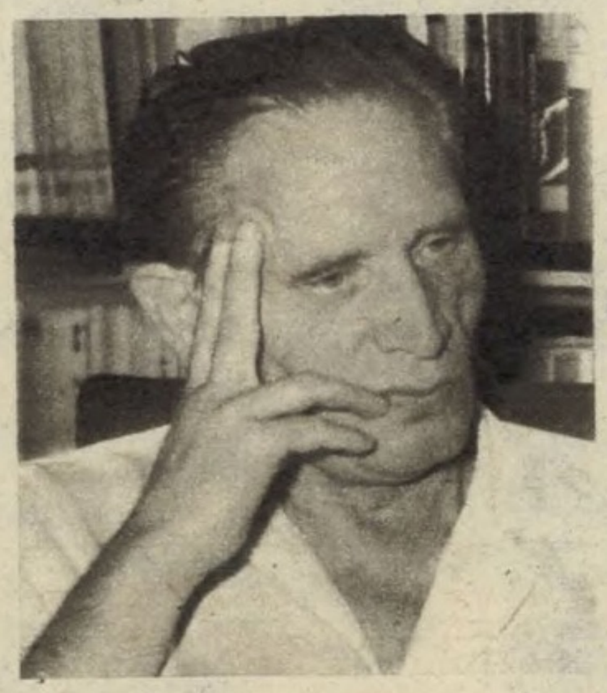

ADAM BAHDAJ (1918–1985)

POZOSTAŁY PO NICH WSPANIAŁE KSIĄŻKI

Świat przygód i uśmiechów

Na stole porozrzucane kredki, za oknem szumią drzewa, a ja podniecona, z wypiekami na twarzy, siedzę i czytam. Już od czterech godzin przeżywam przygody wraz z bohaterami książki Adama Bahdaja **„Uwaga! Czarny parasol"**! Ta powieść niezwykle mnie fascynuje. Mrożące krew w żyłach poszukiwania czarnego parasola, wokół którego skupia się akcja, odwaga młodych detektywów, nieco sensacji, humor, dowcip, prosty język przyczyniają się do tego, że książkę czytam jednym tchem, z uśmiechem na twarzy i skrytą nadzieją na przeżycie kiedyś podobnych przygód. Książka jest bardzo dowcipnie zilustrowana, co czyni ją jeszcze bardziej atrakcyjną. Uwielbiam niebezpieczne, ale kończące się szczęśliwie przygody.
Uważam, że powinno być więcej książek dostarczających nam – czytelnikom wielkich emocji i prawdziwego uśmiechu.

Edyta Wdowiak (13 lat)
z Jasła

Warto odbyć taką podróż!

Lubię książki Adama Bahdaja przede wszystkim za humor i uśmiech, jakim są przepełnione. Szczególne miejsce wśród nich zajmuje według mnie **„Podróż za jeden uśmiech"**. Jest to opowieść o dwóch chłopakach, którzy wyruszyli autostopem do przebywających nad morzem rodziców. Ich samodzielna wyprawa jest wspaniałą lekcją życia, nie pozbawioną naiwnych błędów i potknięć. Po wielu tarapatach chłopcy spotykają się wreszcie z rodzicami.
Ta książka podoba mi się, ponieważ przenosząc nas w pełen nieoczekiwanych wydarzeń świat Dudusia i jego kuzyna, pozwala zapomnieć o szarych sprawach dnia codziennego.
Uważam, że podobna wycieczka przydałaby się niektórym nastolatkom, którzy boją się samodzielności i odpowiedzialności. **„Podróż za jeden uśmiech"** – to wspaniała opowieść, chętnie do niej powracam i gorąco namawiam czytelników „Płomyka" do jej przeczytania.

Elka (14 lat)
z Opola

Bardzo lubię Dziewiątkę

Utwory Adama Bahdaja są, co tu dużo gadać, wspaniałe. Szalenie sympatyczni bohaterowie z bujną wyobraźnią (czasem trochę zbyt bujną), wartka akcja, a przede wszystkim mnóstwo ciekawych i oryginalnych pomysłów autora to główne zalety jego powieści. Mój ulubiony bohater to oczywiście porządnie stuknięty Poldek z **„Podróży za jeden uśmiech"**. Z niego naprawdę można się setnie uśmiać. Nawiasem mówiąc, ten chłopaczek o mały włos nie skłonił mnie do dokonania kradzieży. Chciałam „pożyczyć" sobie na zawsze „Podróż za jeden uśmiech" z prywatnej biblioteki mojej ciotecznej siostry.. W ostatniej chwili opanowałam brzydką żądzę posiadania. No i bardzo dob[illegible]

WSPANIAŁE KSIĄŻKI

lory mieniące się w powietrzu... W książce jest wiele łacińskich nazw motyli i ich dokładny opis, ale jakże odmienny od opisów podawanych w atlasach, na przykład: „Oto szaleństwo madagaskarskiej przyrody: motylowi *Argema mittrei*, by żył jak w zuchwałej bajce, przypięły się do skrzydeł olbrzymie treny". Tak mógł napisać tylko człowiek naprawdę zachwycony światem motyli – przepychem i wielkością rzeczy małych.

Książka ta oczarowała mnie i zachęciła do dalekich wypraw i do poznania egzotycznej fauny i flory. Polecam wam ją szczególnie na deszczowe dni. Wierzcie mi, gdy czytałam ją, za oknem padał deszcz, a ja zapomniałam o wszystkim i czułam się jak w motylim raju...

Elżbieta Jarosińska (13 lat)
ze Sławska w woj. konińskim

Książka rozgrzewająca wyobraźnię

Chyba każdy w swym życiu zapragnął choć raz odbyć podróż do egzotycznych krajów, jeśli nawet miałaby to być tylko podróż z książką w ręku. Ja również zapragnęłam przenieść się do dalekiego kraju, w egzotyczny świat zwierząt i tropikalnej roślinności.

Przeszukałam swoją biblioteczkę i z wielką radością znalazłam książkę Arkadego Fiedlera **„Nowa przygoda: Gwinea"**. Natychmiast zagłębiłam się w lekturze. Książkę przeczytałam, jak to się mówi, jednym tchem, i nie ma się czemu dziwić, ponieważ była pasjonująca.

Wespół z autorem podziwiałam bujną faunę tej wyspy, przeżywałam jego przygody. Śmiałam się z zabawnych perypetii autora z tubylcami.

Jest to książka dla osób lubiących zarówno historię, jak i geografię, bowiem autor zręcznie wplata w tekst wiadomości dotyczące zamierzchłych dziejów wyspy. Miłą niespodzianką były bajecznie kolorowe ilustracje, wspaniałe uzupełnienie tekstu. Książka ta spodobała mi się tak bardzo, że przeczytałam ją jeszcze raz i zachęcam wszystkich do jej przeczytania, gdyż dzięki niej można odbyć wspaniałą podróż w rozpalonej lekturą wyobraźni. Mogą też, a nawet powinny, przeczytać ją osoby, które uznają jedynie realną rzeczywistość i nie lubią marzyć. Może pod jej wpływem rozgrzeją swą zastygłą wyobraźnię...

Izabela Wypiorczyk (14 lat)
z Łodzi

Dobra książka i znaki zapytania

„Małego Bizona" przeczytałam już kilka lat temu. Jednak często do tej książki powracam – i w myślach, i czytając ją na nowo (mam ją w swojej prywatnej biblioteczce).

Chciałbym być Białym Jaguarem

Moja przygoda z Indianami zaczęła się od przeczytania książki Arkadego Fiedlera **„Orinoko"**. Bardzo szybko ją „połknąłem", bo mnie wprost zafascynowała. Spodobało mi się życie i obrzędy religijne Indian z Wenezueli. Moje wrażenia z lektury są tak bogate, że chyba nie potrafię dokładnie ich opisać. Przewracając kartki książki wyobrażałem sobie, że jestem jednym z jej bohaterów. Chodziłem po dziewiczych puszczach, wspinałem się po zboczach gór i czułem się tak, jak gdybym naprawdę pokonując wiele niebezpieczeństw płynął Orinoko do gościnnych Warraułów, siedział przy ich gościnnie zastawionym stole i pił kasziri. Szczerze mówiąc, ja, gdybym znalazł się w sytuacjach trudnych dla Indian, jako ich „biały brat", dałbym im z siebie wszystko i podzielił się tym, co sam posiadam. Chciałbym żyć z nimi, pracować, walczyć, przeżywać trudne chwile.

Niestety wolność Indian musiała się skończyć, bo „biali" uznali, że jest to rasa niższa, a więc trzeba ją wytępić. Książka Arkadego Fiedlera **„Orinoko"** żyje w mej pamięci, ponieważ uzmysłowiła mi, jak haniebnych czynów nasza rasa dopuściła się i jakich dokonała zbrodni na Indianach trzech Ameryk, od czasów przybycia Kolumba w 1492 r., a potem Korteza, białych barbarzyńców hiszpańskich, portugalskich, francuskich, holenderskich, angielskich i wielu innych. Wstyd mi, że do tej rasy należę.

Polecam tę książkę rówieśnikom, aby ją przeczytali i zrozumieli, że ludzi innych ras trzeba rozumieć i szanować.

Moim zdaniem nie należy się chlubić tym, że należymy do „wyższej cywilizacji". Bo to przecież ona zatruła rzeki i powietrze – naturalne środowisko człowieka. Dlatego chciałbym być Białym Jaguarem, który spotkał prawdziwych Indian nad brzegami dzikiej wówczas Orinoko.

Roman Strzelczyk
z Myślenic

Coś więcej niż dobra lektura

Arkady Fiedler dopiero od niedawna jest moim ulubionym pisarzem. Dawniej lubiłam czytać legendy o zamierzchłych czasach, stare podania – słowem, książki o tematyce historycznej. W maju tego roku postanowiłam jednak przenieść się z dawnych czasów do świata podróżniczych przygód. Pomogła mi w wyborze książki koleżanka z mojej klasy, którą od paru lat fascynują utwory A. Fiedlera. Na początek wypożyczyłam książkę **„Wyspa Robinsona"**. Wkrótce potem dwie następne: **„Orinoko"** i **„Biały Jaguar"**.

To był wspaniały pisarz

Dopiero z „Płomyka" dowiedziałem się o śmierci jednego z najbardziej przeze mnie lubianych pisarzy, Adama Bahdaja. Od razu pomyślałem, że muszę do Was napisać i podzielić się z Wami moimi refleksjami na temat jednej z jego książek pt. **„Gdzie twój dom, Telemachu"**? W ten sposób chcę wyrazić moje uznanie dla tego wspaniałego Pisarza.

Powieść ta podoba mi się dlatego, że autor bez żadnego programowego fałszowania przedstawia trudne życie chłopca pozbawionego opieki rodzicielskiej. Jest ono ponure i smutne. Zmienia się nieco po wyjeździe do wuja. Telemach jednak w dalszym ciągu czuje się samotny. Wiadomo – biednemu zawsze wiatr wieje w oczy. Jednak nasz bohater znajduje w końcu to, czego szukał – ciepło rodzinne.

W książce podoba mi się przede wszystkim to, że jest ona napisana jak pamiętnik, i to, że zdarzenia są pokazane przez pryzmat myśli i czynów bohatera. Autor posługuje się naszym młodzieżowym, nieraz podwórkowym językiem, unikając jednak zbyt nieprzyjemnych dla ucha słów. Widać, że Bahdaj był wspaniałym obserwatorem życia i świetnym psychologiem. Potrafił świetnie wcielać się w postacie bohaterów. My, czytając tę powieść, mimo woli czynimy podobnie. Żałuję, że już nigdy Adam Bahdaj nie napisze kolejnej, tak świetnej i naprawdę wzruszającej książki.

Przemysław Wolak (15 lat)
z Kielc

Co dalej, Telemachu?

Adam Bahdaj należy do moich najulubieńszych autorów. Jego książki czytam od dawna. Pamiętam, jak będąc chyba w III klasie wziąłem do ręki w bibliotece pierwszą książkę Bahdaja. Był to czerwony niewielki tomik pod intrygującym tytułem **„Uwaga! Czarny parasol"**.

Byłem wtedy w wieku bohaterów „Czarnego parasola", może dlatego była to dla mnie pasjonująca lektura. Od tamtej chwili Bahdaj stał się moim ulubionym autorem – tak jak Nienacki, Niziurski, Ożogowska.

Odszedł wielki znawca i rzecznik naszych nastolatkowych spraw. Ale Jego książki będą nadal czytane „jednym tchem". Tylko szkoda, że dalszych już nie będzie... Szkoda, że Jego twórczość się zakończyła. Szkoda, że nie będzie już odpowiedzi na pytanie – „Co dalej, Telemachu?"

„Konrad" (14 lat)

...ty do tematu.

Mój zeszyt, w którym zapisuję przeczytane lektury, obfituje w tytuły książek Bahdaja. Co pewien czas powtarzają się nawet te same. Dzieje się tak dlatego, że sięgam po nie wielokrotnie. Kiedy jest niedziela, biorę sobie z półki mój ukochany **„Kapelusz za 100 tysięcy"**. Otwieram go i razem z Dziewiątką po raz już któryś przeżywam fascynujące przygody. Może pomyślicie, że jestem dziecinna, ale bardzo lubię Dziewiątkę, bo i ja też nie chciałam być dziewczyną...

Ach, jakże teraz ogromnie żałuję, że nie kupiłam kiedyś **„Do przerwy 0:1"** i **„Piratów z Wysp Śpiewających"**. I to z bardzo prozaicznej przyczyny. Po prostu zabrakło mi forsy. Dobrze, że zdecydowałam się kupić **„Kapelusz za 100 tysięcy"**, bo nie miałabym ani jednej książki Bahdaja.

Krystyna (14 lat)
z Sejn w woj. suwalskim

W poszukiwaniu kogoś bliskiego

Przeczytałam wiele książek Adama Bahdaja, ale najbardziej utkwiły mi w pamięci dwie: **„Telemach w dżinsach"** i **„Gdzie twój dom, Telemachu?"** Dlaczego właśnie te powieści?

Napisane są z humorem, choć problem w nich poruszony wcale nie jest błahy. Chodzi o los porzuconych dzieci. Tak właśnie porzuconych, bo czyż Maciek nie był tego przykładem?

Zadziwiła mnie jego odwaga, którą wykazał wyruszając na drugi koniec Polski, aby odszukać nie znanego sobie ojca.

Wzruszyła mnie bardzo chęć posiadania kogoś bliskiego. Nie wiem, czy w pełni zrozumieją Maćka ludzie, którzy mają osoby bliskie i kochane, do których zresztą i ja należę. A jednak czytając te książki, przeżywałam wraz z Maćkiem jego losy.

Wzruszył i zastanowił mnie jeszcze jeden bohater tych powieści: Jojo. Któż to jest? Człowiek zmieniający ciągle swoje zajęcie i miejsce zamieszkania. On właśnie zwrócił uwagę na Maćka, włóczącego się po Polsce i bezskutecznie szukającego ojca. Czy spotyka się w życiu takich ludzi? Po głębszym zastanowieniu, stwierdzam, że tak. Wielu przecież ludzi przygarnia dzieci, o których zapomnieli rodzice i bliższa czy dalsza rodzina. Czy o Maćku Łańce też zapomnieli? Ależ nie! Zjawia się wujek i zabiera go do swej willi, ale Maciek choć wszystkie dobra materialne ma zapewnione – ucieka. Dlaczego? Bo zabrakło mu ciepła rodzinnego. Przygarnia go Jojo. U niego Maciek nie będzie miał luksusów, ale znajdzie to, czego szukał – miłość i przyjaźń.

Powieści **„Telemach w dżinsach"** i **„Gdzie twój dom, Telemachu?"** wybrałam z bogatej twórczości A. Bahdaja, ponieważ poświęcone są sprawom bardzo ważnym: miłości i przyjaźni pomiędzy ludźmi.

Grażyna Homańczyk (14 lat)
z Tych w woj. katowickim

Rys. Jacek Tofil

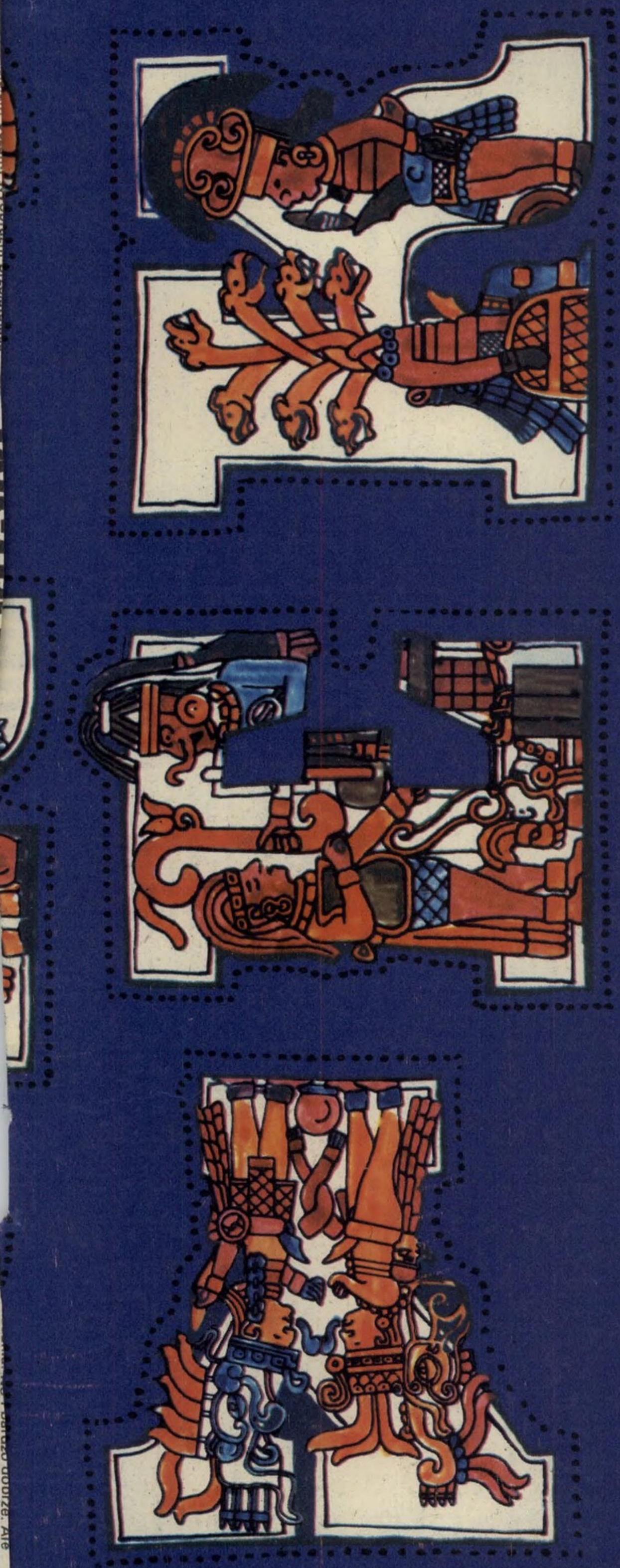

UŁÓŻ NAPIS Z TYCH LITER!
Będzie to hasło akcji,
którą ogłaszamy na str. 9

– Przyjadę, Courtney – szepnęła – „niczym niebieskie chmury".

Problem jedynie w tym, żeby znów się dostać do domu pana Randolpha i zabrać resztę forsy. Musi jej być więcej.

WILLIAM ERNEST I INNE NIKCZEMNE KWIATKI

Następnego dnia rano, kiedy Gilly wyszła do szkoły, od razu natknęła się na Agnes Stokes. Pierwszym odruchem Gilly było cofnąć się, wrócić do domu i przeczekać, aż Agnes sobie pójdzie. Było jednak za późno. Agnes machała rękami i wrzeszczała. Co za kretynka! Gilly szybko przeszła obok niej, nie odzywając się słowem. Słyszała za sobą pośpieszne kroczki, potem poczuła dłoń na ramieniu.

Otrząsnęła się z obrzydzeniem.

Dłoń znikła, lecz Agnes oparła brodę na ramieniu Gilly, wykręcając twarz, żeby spojrzeć jej w oczy. Śmierdziało jej z ust.

– Co będziemy dzisiaj robić? – spytała.

Będziemy. Bezczelna.

– Chcesz się znów bić z chłopakami? Pomogę ci.

Gilly zakręciła się na pięcie i niemal dotknęła nosem zadartego nosa Agnes. Brr.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz w tym twoim kurzym móżdżku, że ja nie chcę zadnej pomocy?

Agnes cofnęła twarz i potrząsnęła tłustymi włosami, lecz ku niezadowoleniu Gilly w dalszym ciągu trzymała się jej jak rzep psiego ogona, pędząc za nią swymi drobnymi kroczkami.

Niełatwo było zignorować jej obecność przez resztę drogi do szkoły, jednak Gilly jakoś się to udało dzięki temu, że przybrała swój ważny wyraz twarzy i wpatrywała się przed siebie niewidzącymi oczyma, nie widząc nikogo, kto znajdował się obok.

– Mieszkam bardzo blisko ciebie, wiesz?

To szalenie podniecające.

– Będę na ciebie codziennie czekała, dobrze?

Ta kretynka nie potrafi nawet zrozumieć, że się ją ignoruje.

Kiedy dochodziły już do szkoły, Agnes machnęła Gilly przed nosem kawałkiem gumy do żucia, jeszcze nieodpakowanej.

– Chcesz trochę balonowy?

A niech tam! Królowa też wykorzystywała Titeliturego. Pewnego dnia Agnes może się przydać. Cała sprawa polega na tym, żeby wiedzieć, jak pozbyć się kogoś, kto nie jest już dłużej potrzebny, a Gilly miała spore doświadczenie i praktykę w tym względzie.

Bez słowa wzięła gumę. Agnes zaczerwieniła się z radości.

– Widzisz tę dziewczynę przy ogrodzeniu? Tę z dużym nosem? W zeszłym roku w maju jej matka uciekła z marynarzem.

– No to co?

Agnes uniosła dłoń i wyszeptała:

– Moja babka mówi, że jej cała rodzina to hołota.

– Tak? – Gilly hałaśliwie międliła gumę w ustach. – A co twoja babka mówi o twojej rodzinie?

Agnes zesztywniała jak wyschnięta gąbka.

– Kto ci coś nałgał o mojej rodzinie?

– Sama zgadłam.

– Oni wrócą. Na pewno. Obydwoje.

– Jasne.

– Przekonasz się. Wrócą jeszcze chyba przed Bożym Narodzeniem.

– Dobra, dobra, wierzę.

Oczy Agnes omiatały pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz Gilly badawczym spojrzeniem.

– Robisz sobie ze mnie żarty? – spytała wreszcie.

– Ja? Nigdy w życiu.

Agnes jakby się uspokoiła.

– Wiem bardzo dużo – powiedziała – znam różne plotki o ludziach tutaj.

– Nie wątpię, skarbie.

Gilly starannie wydmuchała gumowy balon, który wystrzelił niebezpiecznie blisko tłustych, rudych włosów Agnes.

Agnes zaśmiała się ostro:

– Uważaj! – zawołała nerwowo. W tej chwili zadzwonił dzwonek. – Zobaczymy się w czasie dużej przerwy?

Gilly wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę swojej klasy.

– Być może – odrzekła.

Gilly nieustannie rozmyślała nad sposobami zdobycia pieniędzy pana Randolpha, kiedy jednak przeszła próg klasy, zmusiła się do skupienia nad lekcjami. Od razu pierwszego dnia postanowiła, że będzie uważać. Nie pozwoli, żeby ta gromada idiotów uważała się za mądrzejszą od niej. Szalenie irytował ją fakt, że jest do tyłu prawie z każdego przedmiotu, wiedziała jednak, że to nie jej wina, lecz szkoły w Hollywood Gardens. Będzie pracować jak wściekła, żeby nie tylko nadrobić braki, ale także prześcignąć resztę klasy, a potem stanie w miejscu. Tego rodzaju postępowanie doprowadza nauczycieli do szału. Uważają za osobistą obrazę fakt, że ktoś, kto w oczywisty sposób jest lepszy od pozostałych, nagle przestaje się starać. Tak jest. A w przypadku panny Harris Gilly zależało na takim wrażeniu.

W porze drugiego śniadania klasa Agnes była pierwsza w stołówce, kiedy więc Gilly wzięła swoje jedzenie, Agnes siedziała już przy stole i przywoływała ją machaniem ręki. Gilly wolałaby zjeść w samotności. Agnes nie stanowiła najbardziej apetycznego towarzystwa przy jedzeniu, skoro jednak Gilly uznała, że Agnes może się jej na coś przydać, powinna się zacząć przyzwyczajać. Podeszła i usiadła naprzeciwko Agnes, która uśmiechnęła się jak kot z historyjek obrazkowych.

– Ja też dostaję śniadanie za darmo – powiedziała.

Gilly spojrzała na nią wściekłym wzrokiem. To, czy ktoś dostaje śniadanie za darmo czy nie, miało być rzekomo tajemnicą. Akurat. Pierwszą rzeczą, jaką nauczy Agnes Stokes, to to, kiedy ma trzymać tę swoją dużą gębę na kłódkę.

– Chyba wiesz, Agnes, że na twój widok robi mi się niedobrze?

Agnes spojrzała wzrokiem zbitego psa.

– O co ci chodzi?

– Och, nic szczególnego. Po prostu robi mi się niedobrze.

Agnes podsunęła taboret bliżej stołu i zaczęła podwijać wiszące rękawy.

– Nic szczególnego – ciągnęła dalej Gilly. – To nawet chyba nie twoja wina, nic na to nie możesz poradzić. Tyle że ja nie zamierzam tego znosić.

– Czego znosić?

Gilly pochyliła się nad stołem i powiedziała wprost w zarożowioną twarz Agnes:

– Twojego głu[redacted]dania.

Agnes cofnęła się przed szyderczym spojrzeniem Gilly. Naokoło inne dzieci zaczynały się im przyglądać, lecz Gilly nadal patrzyła szyderczo.

– Nic nie gadam – powiedziała cicho Agnes.

– Więc trzymaj gębę zamkniętą. Szkoda by było, jakby ci uciekła resztka rozumu.

Usta Agnes szeroko się otworzyły i natychmiast znów zamknęły. Wzruszyła ramionami, ze złością pociągnęła nosem i zabrała się do jedzenia.

Gilly uśmiechnęła się szeroko do innych dzieci przy stole. Delikatnie rozprostowała serwetkę na kolanach i podniosła szklankę z mlekiem, odginając mały palec, tak jak zaobserwowała u pani Nevins, kiedy tamta podnosiła filiżankę.

Ameryki Południowej, a niektórym nawet o połowę drogi, zależnie od punktu wyjścia statku.

W jednej z następnych podróży do Ameryki Południowej mogłam zobaczyć z pokładu statku, jak wygląda przejście przez Kanał. Przeprawa trwa osiem godzin. Odległość wynosi 77 km – od portu Cristobal nad Atlantykiem do Balboa nad Pacyfikiem, chociaż najczęściej pomija się nazwy tych portów połączonych z dużymi miastami Panamą i Colon.

Wpłynęliśmy od strony Atlantyku. Po godzinie nawigacji nasz statek stanął przed wrotami pierwszej śluzy Gatun. Są to olbrzymie, metalowe portale, których ciężar wynosi 10 tys. ton. Trzy pary takich śluz na oddzielonych od siebie, równoległych torach wodnych umożliwiają podnoszenie lub opuszczanie statków na odpowiednie poziomy.

Po podniesieniu się lustra wody w ostatniej śluzie Gatun statek został przeciągnięty na linach połączonych z elektryczną lokomotywą do leżącego na wysokości 25 metrów jeziora Gatun mającego blisko 500 km² powierzchni. Obsługa porozumiewa się drogą radiową, a nie za pomocą chorągiewek sygnalizacyjnych, jak to było niegdyś, tuż po otwarciu Kanału. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przeprawialiśmy się nocą (Kanał pracuje bez przerwy całą dobę). Mogłam więc stać na odkrytym pokładzie i chociaż temperatura spadła tylko o dwa stopnie (w dzień sięga do trzydziestu), nie oślepiało słońce. Zastąpiły je reflektory i lampy dające światło tak jasne, że odniosłam wrażenie, jakbym uczestniczyła w jakimś teatralnym misterium. Poza granicą światła dyszała tropikalna noc, rozgwieżdżona konstelacjami południowej półkuli.

Następnym etapem jest przekop między górami, zwany przez Amerykanów przekopem Gaillarda od nazwiska inżyniera, który pierwszy założył dynamit do wysadzenia tych skał. Łagodnie wyglądają zbocza tych gór, a przekop wydaje się naturalnym wąwozem – chociaż kiedyś był to najtrudniejszy do przebicia odcinek budowy. Pochłonął setki ton dynamitu i stał się grobem dla tysiący ludzi.

W przekopie Gaillarda mijamy wododział Atlantyku i Pacyfiku i docieramy do śluzy Pedro Miguel. Znów woda szumi, ale na pokładzie statku nie czuje się nawet najmniejszego wstrząsu, choć opada on coraz niżej. W końcu wrota rozsuwają się wolno i majestatycznie, do akcji wkracza lokomotywa, aby nas przeciągnąć na następne jezioro Miraflores, z którego kolejna śluza przenosi statek już na poziom Oceanu Spokojnego.

Na każdą taką przeprawę zużywa się 196 milionów litrów wody, a opłata za przejście Kanału (zależnie od tonażu statku) wynosi średnio siedem tysięcy dolarów. Statki opuszczające Panamę mają przed sobą otwarty ocean, zarówno te dążące do Europy, jak i te wychodzące na Pacyfik. Obydwa brzegi Kanału łączy Most Ameryk–Puente de Americas. Powiewa na nim flaga Panamy podzielona na cztery równe prostokąty, dwa białe, jeden niebieski i jeden czerwony. Na białych polach flagi umieszczone są dwie gwiazdy, niebieska i czerwona.

INDIANIE CUNAS

Z mego hotelowego okna widziałam spokojne wody Zatoki Panamskiej, niegdyś znanej jako miejsce połowu pereł. Teraz flotylla łodzi rybackich czarnymi konturami odcina się od zamglonego upałem horyzontu. Pewnie wróciły z połowu krewetek i dużych, dochodzących do czterdziestu centymetrów długości langust, kształtem przypominających nasze raki.

W Panamie spotyka się ludzi zupełnie obojętnych na osiągnięcia wysoko zaawansowanej techniki. Nie obchodzi ich srebrzysty most ani urządzenia Kanału, nie interesują się wystawami sklepów. Żyją w swoim własnym świecie, niewiele zmienionym od czasów prekolumbijskich. Są to Indianie Cunas. Ich kobiety, owinięte w barwne spódnice, z nasuniętym czerwonym szalem chroniącym od słońca, zdobią twarze złotym kółkiem zaczepionym o wewnętrzną chrząstkę nosa. Lubią pierścionki ze złotych blaszek, naszyniki z nanizanych paciorków, ale najbardziej charakterystyczną częścią ich ubioru są bluzki zrobione z czterech „molas".

Te właśnie prostokąty rozsławiły Indianki Cunas. Wykonane są specjalną techniką wycinania w nałożonych na siebie kilku warstwach kontrastowo jaskrawych materiałów. Każdy wycięty wzór jest odpowiednio obszyty, co w końcu tworzy barwną mozaikę. Przewijające się stylizowane zwierzęta, rośliny, linie geometryczne zostały uznane przez etnografów za arcydzieła sztuki ludowej. Odtąd znajdują wielu chętnych nabywców. Indiańskie kobiety rozkładają swoje „molas" pod murami domów, rozpinają na drewnianych parkanach.

Indianie przybywają z wysp San Blas należących do Panamy. Od strony Antlantyku, na Morzu Karaibskim jest tych wysp akurat tyle, co dni w roku – 365. Niektóre są bezludne, zagospodarowane jedynie przez bladoróżowe kraby. Biegają one, jak to jest w ich zwyczaju, bokiem, po piaszczystych plażach pełnych niewielkich otworków. Czasem mają jakieś swoje porachunki i nacierają na siebie z podniesionymi szczypcami. W razie prawdziwego niebezpieczeństwa umykają do norek i plaże pozostają bez życia, zupełnie puste.

Indiańskie łodzie z małymi żaglami krążą między wyspami a stałym lądem, z którego przywożą słodką wodę.

Na lądzie Indianie mają również niewielkie poletka uprawne i... cmentarze. Ale żywi ich morze. W prostokątnych chatach z bambusów obok kołyszących się, zawieszonych hamaków widać zatknięte narzędzia pracy: wędki, harpuny, sieci. W zbudowanych na płytkich wodach przybrzeża zagrodach z gęsto wbitych żerdzi przetrzymują złapane ryby i osobno, duże jak dłoń, kraby. Jest to ich naturalna spiżarnia. Dla ozdoby i przyjemności trzymają w klatkach uplecionych z trzciny kolorowe papugi, tukany, małpki przywiezione z lądu.

Indianie Cunas niechętnie dopuszczają turystów na swoje prześliczne, małe wysepki. Aby mieć dochód z turystyki wydzielili kilka wysp, urządzili wioski „na pokaz". Można tam za opłatą robić zdjęcia, na Porvenir i Carti funkcjonują obsługiwane przez nich hotele. Nigdy jednak nie zgodzili się na sprzedaż nawet najmniejszej z wysp, chociaż oferty składane im przez milionerów bywały bardzo atrakcyjne.

Podczas samochodowej wyprawy do Panamy, mijaliśmy w drodze powrotnej podążające do portu ciężarówki wyładowane bananami, workami kawy, ziarnem kakaowym. Chociaż największy dochód czerpie Panama z eksploatacji Kanału, eksport tych towarów, jak również uprawa ryżu, kukurydzy, patatów pozwala w coraz większym stopniu zaspokoić wewnętrzne zapotrzebowanie na żywność. A przecież jeszcze dwadzieścia lat temu trzy czwarte produktów żywnościowych importowano z zagranicy.

Przed opuszczeniem Panamy, prowincji Chiriqui graniczącej z Kostaryką kupowałam na drogę najlepsze, jakie istnieją na świecie, pomarańcze. Słodkie, pachnące pomarańcze z Chiviqui, wyzłocone słońcem Panamy, tym samym słońcem, które tyle cierpienia przyniosło budowniczym Kanału.

ANNA SŁOWAKIEWICZ

Barwnie przystrojona panamska Indianka

KOMETA HALLEYA

Spośród wielu komet, które gościły na ziemskim niebie, największą sławę zyskała kometa Halleya. Już od ponad dwu tysięcy lat „straszy" ona mieszkańców Ziemi i obecnie znowu zbliża się do Słońca.

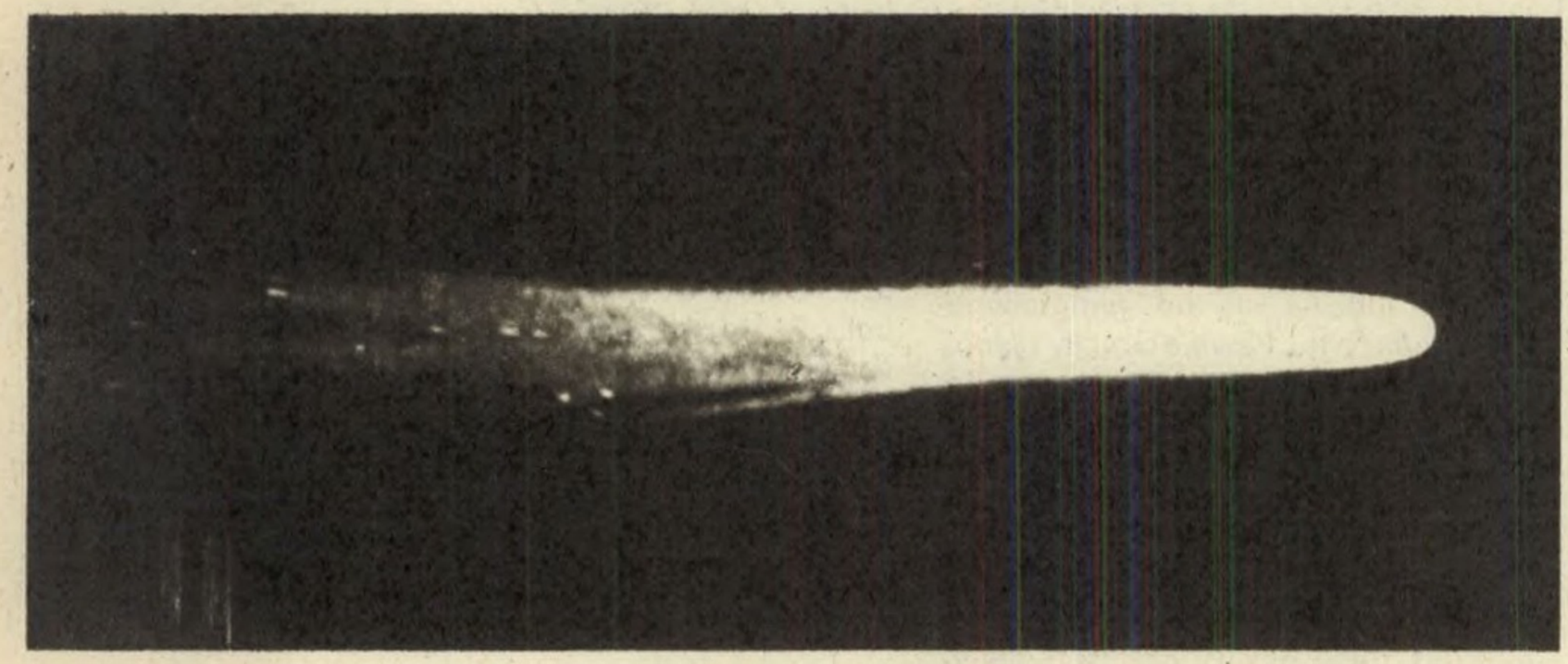

Zdjęcie z 1910 roku

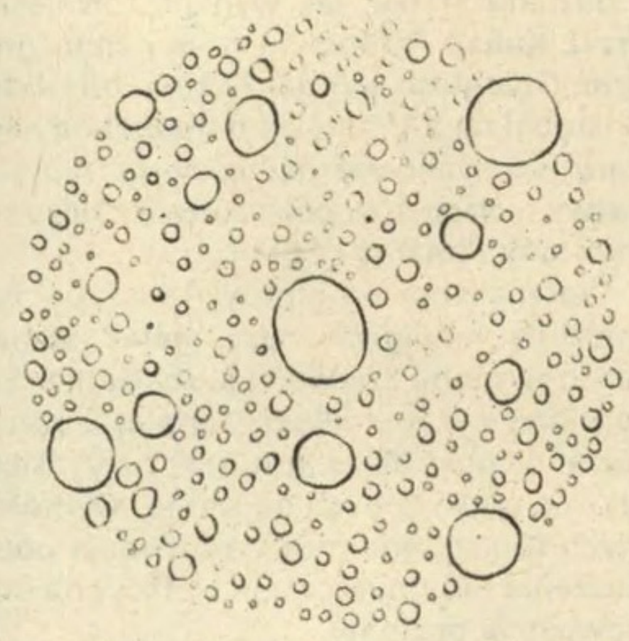

Hipotetyczna budowa jądra komety

Odkrycie Edmunda Halleya

Owa najsławniejsza kometa nosi nazwisko astronoma angielskiego Edmunda Halleya. W drugiej połowie XVII wieku postanowił on obliczyć orbity kilku komet i ze zdumieniem stwierdził, iż komety obserwowane w latach 1531, 1607 i 1682 poruszają się wokół Słońca po jednakowych orbitach. Na tej podstawie doszedł do wniosku, że chodzi tu o jedno i to samo ciało niebieskie. Ale to jeszcze nie wszystko – opierając się na swych rachunkach Halley zapowiedział, iż w roku 1758 kometa znowu powróci do Słońca.

I tak się stało. Kometa nosząca dziś nazwisko tego wielkiego astronoma istotnie w 1758 r. wróciła do Słońca. Był to wielki triumf rodzącej się dopiero nauki o mechanice nieba, która zajmuje się wyznaczaniem orbit ciał niebieskich na podstawie obserwacji ich położeń na niebie oraz obliczaniem zakłóceń ich biegu na skutek przyciągania grawitacyjnego innych ciał niebieskich.

Dalsze badania wykazały, że kometa Halleya obserwowana była już w roku 240 p.n.e. i że od tego czasu do 1910 r. odnotowano 28 jej obiegów.

Najokazalszym zjawiskiem był powrót komety Halleya w 837 roku. Zbliżyła się wtedy do Ziemi zaledwie na odległość 6 milionów kilometrów i świeciła na niebie niemal tak samo jak planeta Wenus w największym blasku. Trzy ostatnie „przeloty" odbyły się w latach 1758, 1835 i 1910. Teraz czeka nas największe przybliżenie tej komety w lutym 1986 r. Ale pech chce, że warunki obserwacji podczas obecnego powrotu są najgorsze z dotychczasowych. A na następny jej powrót do Słońca trzeba czekać aż 76 lat...

Co już wiemy o komecie Halleya?

Wiemy, że okrąża Słońce po orbicie o kształcie mocno wydłużonej elipsy. W punkcie przysłonecznym (peryhelium) zbliża się do niego bardziej niż planeta Wenus (na odległość około 88 milionów km), w punkcie odsłonecznym (aphelium) zapędza się aż za orbitę planety Neptun (odległość komety od Słońca wynosi wtedy około 5250 milionów km). W pierwszym przypadku porusza się z prędkością około 55 km na sekundę, w drugim natomiast prędkość ta spada poniżej 1 km na sekundę. Pełnego obiegu wokół Słońca kometa Halleya dokonuje raz na około 77 lat. Jest to jednak wartość średnia, gdyż z dotychczasowych obserwacji wynika, iż okres jej obiegu waha się od 74,4 do 79,3 lat. Najkrótszy zanotowany był między powrotami w latach 1835–1910, najdłuższy zaś między powrotami w latach 451–530.

O ruchu komety Halleya astronomowie już sporo wiedzą. Znacznie gorzej jest z wiadomościami na temat jej budowy, rozmiarów jądra i jego masy, a także składu chemicznego. Po prostu nasza wiedza o naturze komet jest wciąż bardzo skromna. Nie tak dawno jeszcze sądzono, że ich jądra zbudowane są z jednej lub wielu brył kamiennych. Obecnie uczeni skłaniają się do opinii amerykańskiego astronoma L. Whipple'a. Zakłada on, że jądro komety jest mieszaniną lodu wodnego, zestalonego amoniaku i metanu oraz pyłu i brył meteoroidowych różnej wielkości. Gdy taka kula „zanieczyszczonego śniegu" zbliży się do Słońca, wówczas pod wpływem jego promieniowania lód taje i zamarznięte gazy parują. Jądro komety otacza się rozległą atmosferą, przez astronomów zwaną głową. Tworzy się również wspaniały warkocz, który coraz bardziej się wydłuża, najokazalej wyglądając tuż po przejściu komety przez punkt przysłoneczny. W czasie oddalania się komety od Słońca obserwujemy zjawisko odwrotne. Warkocz staje się coraz krótszy i w końcu znika, po czym zanika też głowa komety. Jej jądro ma już wtedy mniejszą masę, gdyż znaczna część tworzącej go materii umknęła w przestrzeń kosmiczną pod postacią gazu i pyłu.

Z najnowszych pomiarów wynika, że jądro komety Halleya ma około 6 km średnicy i masę około 60 miliardów ton. Za każdym powrotem do Słońca kometa traci około 300 milionów ton swej masy. Na tej podstawie obliczono, iż po raz pierwszy pojawiła się na ziemskim niebie około 115 tysięcy lat temu i że będzie mogła być obserwowana przez następne 25 tysięcy lat!

Astronomowie w pogotowiu

Już przed ostatnim pojawieniem się komety Halleya w 1910 r. uczeni podjęli międzynarodową współpracę. Nie dało to jednak oczekiwanych efektów, ponieważ nie wszystkie obserwatoria włączyły się do badań, a poza tym w tym czasie nie istniały jeszcze maszyny cyfrowe, które tak znakomicie ułatwiają dziś opracowanie materiału obserwacyjnego. Do kolejnego powrotu słynnej komety uczeni całego świata przygotowują się bardzo starannie. Podczas ostatniego kongresu Międzynarodowej Unii Astronomicznej powołano nawet organizację o nazwie „International Halley Watch" (Międzynarodowa Służba Komety Halleya), która ma koordynować wszystkie działania. Nad całością prac czuwają dwa ośrodki kierownicze: w Pasadenie (USA) i w Bambergu (RFN).

Będzie to niewątpliwie największa z organizowanych dotychczas astronomicznych imprez międzynarodowych. Może nawet wydawać się dziwne, że astronomowie tak wielką wagę przywiązują do obserwacji tej komety. Wiemy przecież, że jest to niewielkie ciało i w dodatku o bardzo prymitywnej budowie. Jakie są zatem powody tak szczegółowego i wszechstronnego zainteresowania kometą?

Oto niektóre z nich:

– Istnieją przypuszczenia, że komety to resztki materii pozostałej po uformowaniu się Słońca i planet. Prawdopodobnie składają się całkowicie lub prawie wyłącznie z materii, która przed około 4,5 miliar-

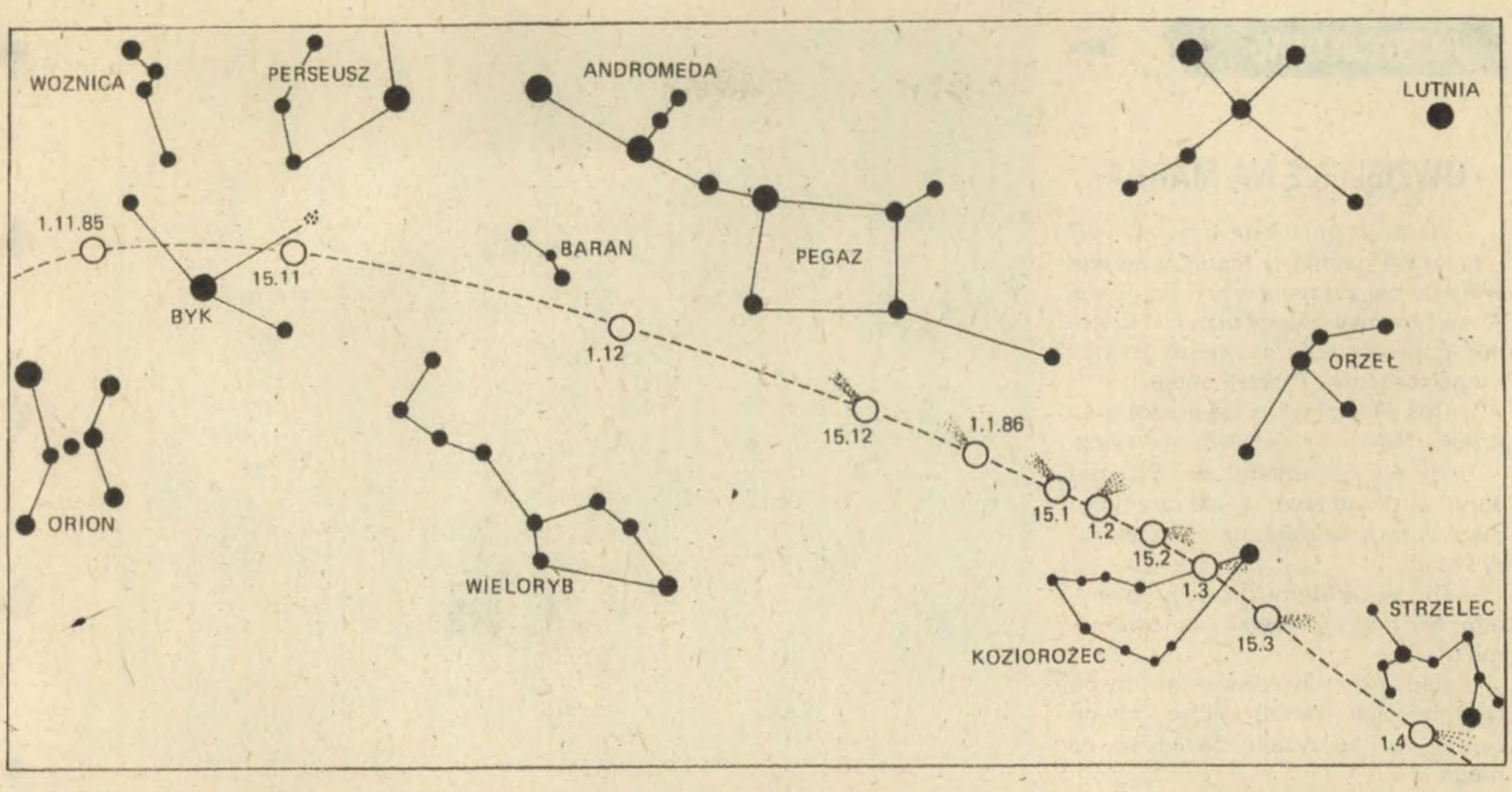

Mapka nieba z zaznaczoną drogą komety Halleya od 1 listopada 1985 roku do 1 kwietnia 1986 roku

dami lat wchodziła w skład mgławicy prasłonecznej.

– Podobieństwo składu chemicznego komet ze składem chemicznym międzygwiazdowych obłoków wskazuje, że obiekty te występują także poza granicami Układu Słonecznego. Są zapewne bardzo pospolitymi ciałami w Galaktyce i prawdopodobnie tworzą się również w naszych czasach.

– Budowa i skład chemiczny komet sugeruje, że za ich pośrednictwem – jak niektórzy sądzą – może być przenoszona materia organiczna. Byłyby więc one po prostu „roznosicielkami" życia we Wszechświecie.

– Komety są naturalnymi sondami międzyplanetarnymi. Reagują na promieniowanie słoneczne i mogą dostarczać cennych informacji o zmiennych właściwościach tego promieniowania.

Tak więc jest wiele powodów skłaniających uczonych do interesowania się kometami. Ale dlaczego upodobano sobie akurat kometę Halleya? Każdego roku pojawia się przecież na ziemskim niebie co najmniej kilkanaście komet i niektóre z nich są dużo okazalszymi obiektami. To prawda, lecz kometa Halleya jest najdłużej obserwowana, dzięki czemu uczeni mogli bardzo dokładnie obliczyć jej orbitę. To właśnie umożliwiło ścisłe określenie pozycji komety na niebie i już 16 października 1982 roku została ona dostrzeżona za pomocą pięciometrowego teleskopu w obserwatorium na Górze Palomar (Kalifornia, USA). Świeciła wtedy bardzo słabo i znajdowała się od Słońca aż 11 razy dalej niż Ziemia. Dalsze zaś obserwacje umożliwiły jeszcze dokładniejsze ustalenie orbity komety (wiadomo np., że przejdzie ona przez punkt przysłoneczny o 5 godzin wcześniej niż to wynikało z poprzednich obliczeń).

Jest to ogromnie ważna informacja, gdyż kometa ma być obserwowana przecież nie tylko z Ziemi, ale również za pomocą sond kosmicznych. Odbędą się przy ich zastosowaniu następujące eksperymenty astronautyczne:

– Radziecki projekt „VEGA" (2 sondy) z udziałem nie tylko Polski i innych krajów socjalistycznych, lecz także kilku państw zachodnioeuropejskich (Francja, RFN i Austria).

– Zachodnioeuropejski projekt „Giotto" (1 sonda), w którym bierze udział siedem państw (RFN, Francja, Wielka Brytania, Holandia, Szwajcaria, Belgia i Włochy).

– Projekt japoński „Planeta-A" i „Planeta-B" (2 sondy).

Jak zobaczyć tę kometę?

Każdy zapewne chciałby zobaczyć kometę Halleya podczas jej obecnego powrotu do Słońca. Będzie ona widoczna na wieczornym niebie od końca listopada 1985 roku do końca stycznia 1986 roku oraz na porannym niebie od drugiej połowy lutego do początku kwietnia tegoż roku. Przez punkt przysłoneczny przejdzie 9 lutego i wtedy zniknie w blasku słonecznym. Największą jasność osiągnie w końcu marca, kiedy to powinna też mieć najokazalszy warkocz. Niestety, w tym czasie będzie już świeciła w naszych szerokościach geograficznych bardzo nisko nad południowo-wschodnią częścią horyzontu i uda się ją nam zobaczyć tylko w dobrych warunkach atmosferycznych. Kometę najłatwiej odszukać na niebie w pogodną, bezksiężycową noc, z dala od miejskich świateł i dymów fabrycznych.

Jasność komety Halleya podczas obecnego powrotu nie będzie duża. Do jej obserwacji należy więc użyć lornetki o niedużym powiększeniu i możliwie największej średnicy obiektywów. Odnalezienie komety znacznie ułatwi znajomość gwiazdozbiorów. Dlatego załączamy mapkę nieba z naniesioną drogą komety wśród gwiazd.

STANISŁAW R. BRZOSTKIEWICZ

Orbita komety Halleya i orbity czterech wielkich planet

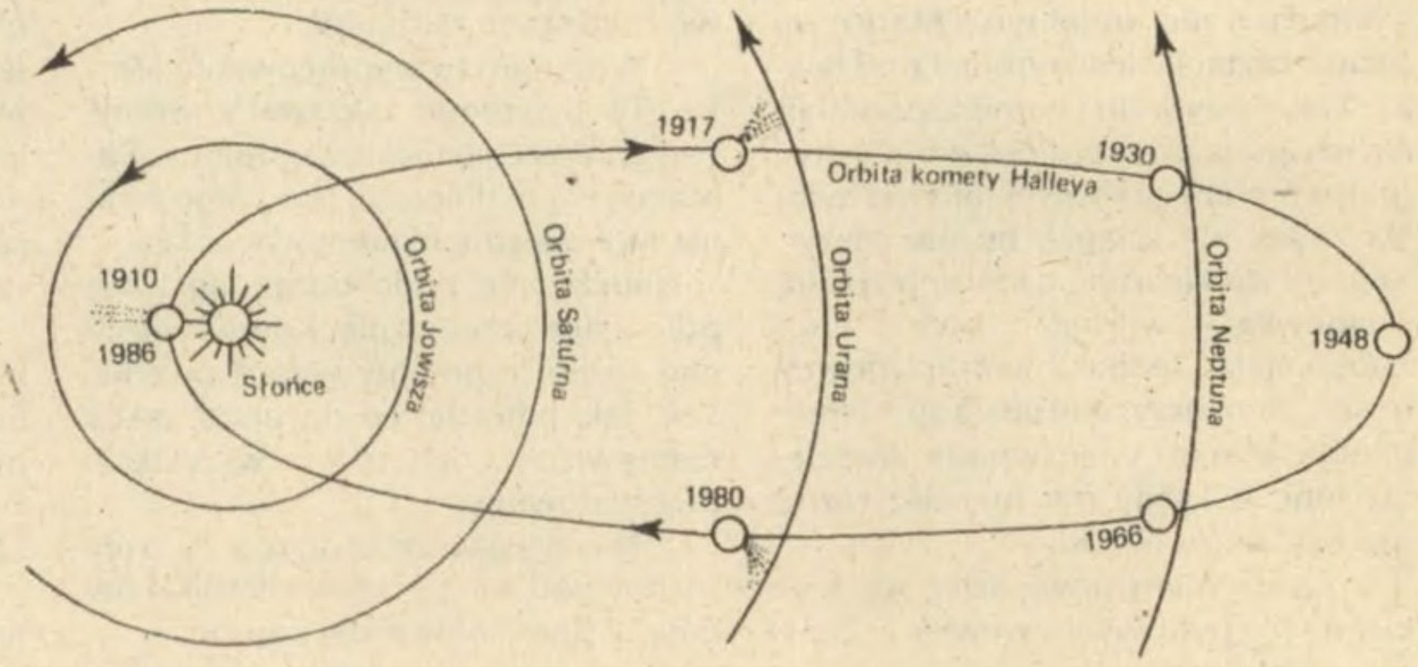

UWZIĘLI SIĘ NA MARKA

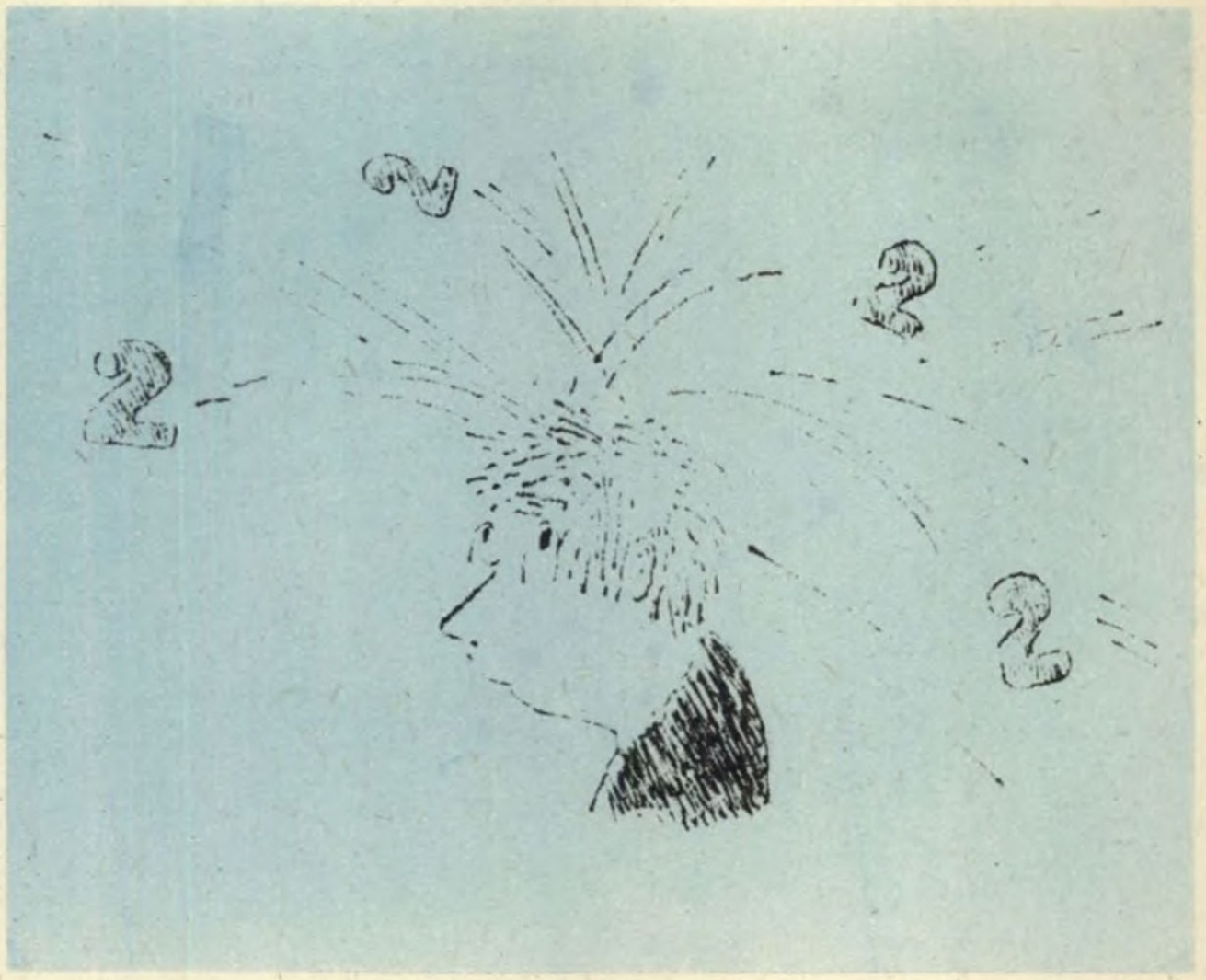

Rys. JULIAN BOHDANOWICZ

– Za co się oni tak na mnie uwzięli? – mruknął rozżalony Marek, oberwawszy dwóję, już piątą w tym tygodniu. A wychowawca, kiedy przejrzał dziennik, poprosił, żeby odwiedził go ktoś z jego rodziców. Przyszli oboje.

– Coś się stało, coś się niedobrego dzieje z Markiem – powiedział do nich.

– Sam nie rozumiem, co. Przecież uczył się dotąd średnio, ale raczej bez dwój. A teraz w ciągu paru dni tyle razy wpadł!

– On się w domu uczy jak przedtem. Nic nie zauważyłam – mówi mama Marka.

– Sami już z nim rozmawialiśmy po tych dwójach – dodaje ojciec – ale on uważa, że nauczyciele uwzięli się na niego...

– Uwzięli się? On tak uważa? Za co? – dziwi się wychowawca. – No to porozmawiam o tym z nauczycielami.

– Tylko ostrożnie, panie profesorze, żeby się nie obrazili. Przecież my się wcale nie skarżymy – prosi mama, bo co będzie, jeśli się jeszcze bardziej „uwezmą"?

Zanim jednak wychowawca zwrócił się do nauczycieli, postanowił pogadać z Markiem.

Marek, jak to Marek. A to, że go nagle zapytano z nowej lekcji, której „nikt nie zrozumiał", a on, Marek, stał się kozłem ofiarnym. A to, że faktycznie zapomniał zeszytu z chemii, ale dostał dwójkę nie za to, lecz za to, że nie chciał się do tego przyznać i coś tam nakłamał. A to, że tylko na chwilkę sięgnął do kieszeni na klasówce z fizyki, ale wcale nie miał zamiaru ściągać.

– Innym by się wszystko upiekło, ale na mnie mają oko. Za byle głupstwo dwója... – zakończył Marek swoją obronę.

Wychowawca porozmawiał też z klasowymi „samorządowcami". W zasadzie potwierdzili słowa Marka. No, było też trochę drobnych sprostowań. Z tej „nowej lekcji" zapytano i innych, a nie umiał tylko Marek, bo akurat czytał jakieś kryminał pod ławką. Tak, zeszytu do chemii zapomniał, ale nazajutrz go przyniósł, ale i na drugi dzień pracy domowej tam nie było. Na fizyce nie ściągał, bo nie zdążył. Sięgnął do kieszeni, z której wypadła ściągawka wprost pod nogi nauczyciela. Jednak i samorządowcy uznali, że nauczyciele jakoś specjalnie pilnują Marka, więc wpada częściej niż inni. A każdy ma przecież różne grzeszki na sumieniu.

– To co mam powiedzieć nauczycielom? – pyta wychowawca. – Żeby mniej go pilnowali, to wtedy będzie lepszy?

– – Niech go traktują jak wszystkich – mówi Patrycja.

– Niech ma równe szanse, a nie: jakby był napiętnowany – mówi Artur.

– Albo niech mu dadzą czas na poprawę – dodaje Agata.

– Jeszcze się zastanowię, co z tym zrobić; dziękuję wam za rady – zakończył rozmowę wychowawca i poszedł do pokoju nauczycielskiego.

A więc i my zajrzyjmy do tego pokoju i zdradźmy drobne sekrety nauczycieli...

Jedna z pań (ta od matematyki) powiada, że Marek, zamiast śledzić tok lekcji, myśli o niebieskich migdałach; ilekroć go o coś zapyta, zawsze prawie słyszy: „nie wiem, nie rozumiem..." Pan od chemii twierdzi stanowczo, że z Marka zrobił się krętacz, a szkoda, bo był niezłym chemikiem w zeszłym roku. Pan od fizyki nie chce jeszcze niczego przesądzać, ale ostrzega, że jak tak dalej pójdzie, to źle się to skończy dla Marka.

Wychowawca rozgląda się po pokoju. Pani od polskiego podnosi głowę znad stosu zeszytów.

– A ja mam tu wypracowanie Marka. To był temat tak zwany wolny. Ten chłopiec jest jakiś zagubiony. Sama nie wiem dlaczego, ale z jego pisania wyziera strach, niepewność i żal...

Nauczyciele podchodzą, zaglądają polonistce przez ramię. Komentują cicho różne fragmenty wypracowania. Tak, tak, patrzcie, co on pisze, jakby rzeczywiście był przez wszystkich prześladowany.

– Niech się weźmie do roboty, a nie biadoli nad sobą – mówi chemik. I dodaje: – Sam sobie musi pomóc.

Wychowawca patrzy, słucha. Osiągnął to, czego właśnie sobie życzył. Zauważyli, że Marek ma problemy. Próbują go zrozumieć, więc chyba spróbują mu pomóc.

Znów rozmowa z samorządem.

– Nikt się na niego uwziął – mówi wychowawca. – To on sam zaniedbał się w nauce. Zaczął bać się dwójek, kręcić, ściągać i przez to rzucał się w oczy. Nauczyciele zareagowali normalnie, choć ostro, jak to nauczyciele. Ale teraz chyba będą chcieli mu jakoś pomóc.

– Jak? – pyta Patrycja.

– Poczekają, popatrzą, czy on sam coś zrobi, żeby poprawić opinię o sobie. Może mu trochę przepuszczą na początku, ale niech nie liczy, że tak będzie zawsze. Bo jeżeli sam się nie postara, to wtedy naprawdę się na niego „uwezmę".

– Czyli że wszystko zależy tylko od niego! – orzekła Agata.

– Nie tylko... – powiedział wychowawca i zrobił wyczekującą minę.

Patrycja spojrzała na Agatę, Agata na Artura. „Ten nasz stary ma paskudny zwyczaj mówienia szaradami" – myślą sobie. I nagle stało się jasne jak słońce: oni powinni wyciągnąć Marka z dołka.

– No to my się za niego zabierzemy – oświadczyła Patrycja. – Już my dopilnujemy, żeby nadrobił zaległości i pokazał, co potrafi.

Dopilnowali. Po miesiącu Marek miał już wszystkie dwóje „pokryte" innymi stopniami. A oni z nawyku pilnowali go dalej.

– Coście się tak na mnie uwzięli? – zapytał kiedyś Marek Artura.

Ale w pytaniu tym nie było ani lęku, ani żalu, ani niepewności. *SENIOR*

ZIEMNIACZANE KOLACJE

Ziemniaki najczęściej traktujemy jako dodatek do drugiego dania lub zupy. A przecież mogą one być też samodzielnym daniem, atrakcyjnie przyrządzonym. Np. ziemniaki pieczone, zapiekane czy też różne sałatki ziemniaczane. Oto parę przepisów na ziemniaczane kolacje.

SAŁATKI

Ziemniaki ugotowane w mundurkach przestudzić i obrać ze skórki, pokrajać w kostkę. Pęczek szczypiorku posiekać (jeśli nie ma szczypiorku, można użyć drobno posiekaną cebulę). Dodać do smaku soli i pieprzu, zalać kilkoma łyżkami oleju sojowego, dobrze wymieszać. Na końcu doprawić octem do smaku (może być ocet winny, owocowy lub korzenny, dobry też jest estragonowy). Sama sałatka albo też podana z gorącą parówką lub kawałkiem kiełbasy może być dobrym daniem na kolację.

Kilka ugotowanych w mundurkach ziemniaków obrać i pokrajać w cienkie plastry, 2 jajka na twardo pokroić, dodać 20 dag gotowanej fasolki szparagowej (może być z puszki) pokrojonej w małe kawałki, 1 cebulę posiekać. 20 dag mięsa (gotowane, duszone, pieczone) pokrajać w kostkę. Wszystko razem wymieszać, doprawić do smaku solą, pieprzem, olejem i octem. Posypać siekaną natką pietruszki. Zamiast octu i oleju można użyć majonezu.

Srebrne kule

Wybrać ziemniaki jednakowej, średniej wielkości, obrać, opłukać i wilgotne zawijać (każdy oddzielnie) w kawałki folii aluminiowej. Ułożyć na blasze do pieczenia i piec w piekarniku około 45 minut. Podawać na półmisku zawinięte w srebro. Do tej góry srebrnych kul podajemy surowe masło i sól. Może to być doskonały dodatek do każdej potrawy (ryb, śledzi lub mięsa), ale i same ziemniaki w ten sposób przyrządzone są smacznym i efektownym, choć skromnym daniem.

Złote kule

Średniej wielkości ziemniaki obrać, umyć, posypać solą, ułożyć na blasze do pieczenia, posypać kminkiem i mąką (wówczas nabierają złotawego koloru i chrupiącej skórki). Piec aż się zarumienią. Podawać z surowym masłem, z bryndzą lub śledziem. *(gm)*

O TO CHODZI!

Do Tomasza Manna (1875–1955) wielkiego niemieckiego pisarza zgłosił się pewnego razu młody człowiek z prośbą o przeczytanie jego literackich prób. Kiedy po jakimś czasie przyszedł, aby usłyszeć opinię mistrza, wywiązała się następująca rozmowa:

– Powinien pan jak najwięcej czytać – stwierdził z naciskiem autor „Czarodziejskiej góry". – Po prostu każdą wolną chwilę, powinien pan spędzać na czytaniu.

– Ależ mistrzu, nie będę miał wówczas czasu na pisanie – zaniepokoił się młody człowiek.

– O to właśnie chodzi – dodał bezlitośnie Mann. *(wk)*

GULIWER WŚRÓD DZIECI

Kiedy w 1726 r. angielski pisarz Jonathan Świft ogłosił drukiem swoją powieść „Podróże Guliwera", nie przypuszczał, że kiedyś w przyszłości stanie się ona jedną z najpoczytniejszych książek również wśród dzieci i młodzieży. Nie pisał jej wcale z myślą o młodych czytelnikach. Przygody bohatera wędrującego po wyimaginowanych krainach Liliputów, Olbrzymów, Dziwaków i Rozumnych Koni – były pretekstem dla ukazania satyrycznego obrazu społeczeństwa angielskiego i w ogóle spraw ludzkich oraz zaprezentowania filozoficznych poglądów autora.

Okazało się jednak, że dzięki ciekawej, pełnej fantazji fabule, „Podróże Guliwera" mogą być pasjonującą lekturą dla młodzieży, a nawet dla dzieci. Z myślą o nich dokonywano później różnych adaptacji powieści, usuwając z niej trudniejsze wątki.

„Podróże Guliwera" były ulubioną lekturą wielu pokoleń młodych ludzi na całym świecie. Mimo sędziwego wieku (prawie 260 lat) książka jest nadal bardzo popularna. Świadczy o tym wielka liczba wydań w 50 językach świata.

W Mieździreczesku jednym z miasteczek zachodniej Syberii wzniesiono na placu dziecięcych zabaw (widać go na fotografii w lewym górnym rogu) kilkunastometrowy posąg Guliwera wykonany z barwnych płytek ceramicznych. Dzieci zawierają znajomość z Guliwerem zanim jeszcze sięgną po książkę i dowiedzą się z niej o jego przygodach.

KRZYŻÓWKA Z IDOLEM na str. 24

POZIOMO: 1) ptak, który służył niegdyś do polowania, 4) to, co wyskakuje po ukąszeniu komara, 7) zakończenie, 9) bohaterka powieści Kraszewskiego (także tytuł tejże powieści), 10) rzeka na Pomorzu Zachodnim, 11) rzecz nieudana albo potrawa z mielonego mięsa, 12) kukła (także powieść Prusa), 13) jedno z miast wojewódzkich (w których produkuje się maszyny do szycia i do pisania), 14) to, z czego robi się smaczny napój oraz czekoladę, 15) trąba słonia, 16) np. baranica, 19) przysłowiowa droga wiodąca do kłębka, 20) zamieszanie, 21) część mieszkania, 22) skrzydlaty koń (także tytuł magazynu telewizyjnego), 24) bohater licznych książek obrazkowych Chmielewskiego, najinteligentniejsza małpa świata, 25) notatka, zapisek, 28) budowla obronna w centrum Moskwy, dawna siedziba władców, 29) pomieszczenie dla krów, 31) czteroosobowy powóz konny, 32) stado zwierząt domowych, 38) latanie, 42) wielka rzeka afrykańska (długości 1600 km), uchodzi do Oceanu Indyjskiego, 43) rzeka w azjatyckiej części ZSRR, nad którą leży Omsk, 44) kawałek świecy, 45) płyn z owoców, 47) imię żeńskie, 50) smarowidło, 52) pieczara, 54) motyl, który może być nimfą wodną lub leśną, 55) mogą być słowicze, 56) pierwszy pies-kosmonauta, 57) ten, co pisze do adresata, 58) nauka o ruchu pocisków, 59) miasto Manifestu Lipcowego PKWN.

PIONOWO: 1) zarys, plan, 2) to, co ma i ryba, i nabój karabinowy, 3) lata nad wodami i łąkami, 4) statek powietrzny, 5) zespół tańczący w operze, 6) roślina pnąca się, zwykle egzotycznego pochodzenia, 7) jabłka w gęsi, 8) hałas, łoskot, 17) nagromadzenie w skorupie ziemskiej rud, ropy naftowej, węgla itp., 18) doświadczenie, badanie, 22) wąż dusiciel, 23) śniegowa zawalidroga, 26) zagięty i przyszyty brzeg tkaniny, 27) nasz złoty medalista olimpijski w pchnięciu kulą, 29) potrawa z jaj w formie placka, 30) współbrzmienie dźwięków (albo robota na sztuki), 33) porządek, karność, 34) obrócenie się, 35) ptak żyjący nad morzami, 36) znak, wróżba, przepowiednia, 37) może być kalendarzowy, 38) to, bez czego nie można wygrać fantu, 39) nerwowy, mimowolny skurcz mięśni (przeważnie twarzy), 40) najwyższy czynny wulkan Europy (Sycylia), 41) pospolity chwast, 46) nagonka, 48) scena w starożytnym teatrze, na której walczyli gladiatorzy i zapaśnicy, 49) osiedle albo załoga łodzi wioślarskiej, 50) dom monarchy, 51) alarum, bicie na trwogę, 52) to, co dromader ma tylko jeden, 53) jeden z muszkieterów rozsławionych przez Dumasa.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać litery z barwnych pól (według oznaczonej kolejności), które utworzą złotą myśl Mikołaja Reja z Nagłowic.

ROZWIĄZANIE krzyżówki (wystarczy samo hasło) nadsyłajcie w ciągu 10 dni od ukazania się tego numeru pod adresem: Redakcja „Płomyka" – ul. Spasowskiego 4, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380. Rozwiązania prosimy przysyłać na kartkach pocztowych lub z dopiskiem na kopercie „krzyżówka z nru 21". Pomiędzy czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

ŁADNE, MODNE I... WYGODNE

Chciałabym mieć spodnie modne, ale i praktyczne. Nie chcę tych bardzo obszernych fasonów, bo jestem mała i szczupła, niedobrze też czuję się w tych bardzo obcisłych. Przydałaby się również jakaś bluzka, odpowiednia do fasonu spodni, jaki pokażecie.
Miśka

Na zdjęciu wyżej przedstawiamy wymarzony fason spodni dla szczupłych i niskich dziewcząt. Przymarszczone od bioder i ujęte w trójkątny pasek – stanowiący modne wykończenie spodni. Pasek może kończyć się na biodrach lub, jeśli ktoś woli, być przedłużeniem talii, bo nie każdej dziewczynie dobrze jest w spodniach biodrówkach. Materiał na spodnie nie powinien być zbyt gruby ze względu na liczne przymarszczenia.
Do spodni proponujemy – bluzkę sportową i kamizelkę z tego samego materiału. Trójkątne wykończenie kamizelki, stanowiące pasek oraz „skrzydełka" przy rękawach są zrobione z podwójnej warstwy materiału i przepikowane. Do środka można włożyć cienką flanelkę lub usztywniającą flizelinę.
Zwróćcie uwagę na kamizelkę, jaką ma na sobie chłopiec. Uszyta jest z dwóch różnych materiałów (najbardziej wskazany sztruks) zabawnie zestawionych ze sobą. Taką kamizelkę mogą nosić również dziewczęta.
Zdjęcie pochodzi z czasopisma „Pramo" wydawanego w NRD. *(gm)*

PIASEK W OCZACH

Ciągle mnie pieką oczy, są zaczerwienione i łzawią. Stosuję przemywanie roztworem kwasu bornego, ale to mało pomaga. Nieustannie czuję jakąś „przeszkodę" w oczach. Nie mogę zbyt dużo się uczyć, bo męczy mnie ślęczenie nad książką. Proszę o radę.
Aśka

Wszystkim, którzy cierpią na podobne dolegliwości radzimy wybrać się do lekarza – okulisty. Na to się musi znaleźć czas.
Ta „przeszkoda" w oczach (jakby piasek w oczach) – to znana dolegliwość występująca u tych, którzy nabawili się przewlekłego zapalenia spojówek. Często do tych dolegliwości dochodzi światłowstręt i czasem ropna wydzielina, która skleja powieki, widoczne jest to rano, po przebudzeniu.
Zapalenie spojówek utrzymuje się nieraz długo, jeśli próbuje się je leczyć tylko domowymi sposobami: kompresami z rumianku, herbaty, kwasu bornego. To pomaga przez kilka dni, ale potem dolegliwość znów wraca. Dlatego lekarz-okulista powinien zalecić odpowiednią kurację. *(gm)*

ZŁOTE PRAWO

Jedyne prawo, które przez nikogo nigdy nie zostało złamane to ustawa angielska z 1392 r. wydana przez króla Henryka IV zabraniająca przemieniać zwykłe metale w złoto.

PŁOMYKOTEKA

ZA CO MOŻNA LUBIĆ MATEMATYKĘ?

Rozmowa z 15-letnim uczniem z Krakowa Pawłem Kunstmanem

Wyobraźmy sobie taką oto niecodzienną sytuację: w ławkach siedzą dostojni profesorowie, znawcy najbardziej nowoczesnych dziedzin matematyki, a przy tablicy stoi kilkunastoletni uczeń i broni swojej pracy z teorii liczb. Siedzący w ławkach słuchają go uważnie i w skupieniu. Za chwilę, gdy stojący przy tablicy „wykładowca" odłoży kredę, z sali zaczną padać pytania.

Tak wygląda finał konkursu uczniowskich prac z matematyki, który w tym roku, już po raz ósmy, odbył się w Kielcach podczas Zjazdu Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Jednym z finalistów był 15-letni uczeń z Krakowa – Paweł Kunstman.

Redakcja: – *Czy to prawda, że napisałeś swoją pracę jeszcze w szóstej klasie?*

Paweł: – Tak, wtedy interesowałem się analizą regresji.

R.: – *Coż to takiego? Dla niewtajemniczonych to niezrozumiałe pojęcie.*

Paweł: – Analiza regresji jest to metoda pozwalająca na wyznaczenie pewnej wartości liczbowej współczynników a b c przy funkcji kwadratowej, liniowej lub wyższego rzędu, która pozwala na uzyskanie pewnych danych statystycznych...

R.: – *Czy gdybyś w swojej klasie poprowadził taki wykład, jak tutaj w Kielcach, to ktoś by cię zrozumiał?*

Paweł: – O, myślę, że tak. Chodzę do klasy eksperymentalnej z rozszerzonym programem matematyki. Teraz zdałem do liceum, też z programem uniwersyteckim z zakresu matematyki. W szkole często zostawaliśmy po lekcjach, żeby rozwiązać kilka matematycznych problemów.

R.: – *I cała klasa była taka uzdolniona?*

Paweł: – Może raczej, powiedzmy, byliśmy właściwie szkoleni. Trochę na zasadzie zabawy, rozwiązywania pasjonujących łamigłówek, zagadek matematycznych. Nasz nauczyciel wpoił nam również to, że nie ma „królewskiej", czyli wygodnej drogi do matematyki. Musi się mieć czas na namysł, upór w dociekaniu, wytrwałość przy rozwiązywaniu zadań i systematyczność.

R.: – *Właśnie. Matematycy twierdzą, że nie można uczyć się matematyki od czasu do czasu. Ostatecznie, jeśli ktoś ma świetną pamięć i dużo silnej woli, to może opanować program na przykład biologii w ciągu dwóch tygodni. Matematyki już się tak nauczyć nie można.*

Paweł: – Myślę, że stąd właśnie wynika taki strach przed matematyką. Tu się rzeczywiście nie nadgoni, tu nie można sobie opuścić pewnych partii materiału i przejść do innych. Po prostu powstaną luki i dziury, które uniemożliwią zrozumienia innych twierdzeń, rozwiązanie zadań.

R.: – *Czym jest matematyka?*

Paweł: – Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Potocznie sądzi się, że nauką o liczbach, ale to nie jest cała prawda. Niektórzy dowcipnie i chyba prawdziwie mówią, że matematyka jest tym wszystkim, czym się zajmują matematycy...

R.: – *A czym się zajmują matematycy?*

Paweł: – Jeszcze sto lat temu można było dość prosto odpowiedzieć na to pytanie, ale obecnie nastąpił tak niezwykły rozkwit tej nauki, powstało tyle nowych „matematyk", że nie podejmuję się udzielenia odpowiedzi.

R.: – *Słowo matematyka, opatrzone jeszcze przymiotnikiem „wyższa", budzi nieraz przerażenie w przeciętnym uczniu.*

Paweł: – Tutaj na zjeździe odkryłem straszną dla mnie prawdę. Ktoś, kto zajmuje się topologią już nie potrafi fachowo dyskutować z kimś, kto interesuje się inną dziedziną matematyki. Pewien znakomity profesor, w czasie rozmowy między wykładami, powiedział nam, że jest bardzo niewielu takich matematyków, którzy mają rzeczywiste pojęcie o całej matematyce. I to jest przykre.

R.: – *Czy to nie zniechęca tak młodego człowieka jak ty, do wgłębiania się w naukę, która jest nie do opanowania? Jaki to ma sens?*

Paweł: – Zawsze chyba ma się nadzieję, że się opanuje jak najwięcej materiału. Zresztą ten sam problem mają i przedstawiciele innych nauk. Już nie ma lekarzy, którzy by się znali na wszystkich chorobach. Historyk też nie zna całych dziejów. Posługuję się tym przykładem, ponieważ trochę zajmuję się historią starożytną.

R.: – *Ale historyk, zajmujący się nawet tylko wiekami średnimi, może powiedzieć, że rozumie procesy historyczne i jednak jest w stanie dyskutować z kolegą, znawcą epoki napoleońskiej. Nie dzieli ich bariera niezrozumienia.*

Paweł: – To prawda, ale matematyka ma inne wspaniałe zalety, jakich nie posiadają inne nauki.

R.: – *Na przykład?*

Paweł w karykaturze narysowanej przez profesora

Paweł: – Jest przede wszystkim nauką, w której łatwo sprawdzić, czy ktoś mówi prawdę. Tu nic nie jest oparte na zasadzie: ja tak sądzę, ja tak uważam, ja tak myślę. Albo da się przeprowadzić pewien dowód albo nie. W zadaniu istnieje jeden poprawny wynik, a rozumowanie musi być bezbłędne. To dlatego zupełnie młodzi ludzie mogą na wykładzie sędziwego profesora powiedzieć: tu się pan pomylił. I – jeśli to stwierdzą – mogą podejść do tablicy i udowodnić, gdzie tkwi błąd. W innych naukach są dopuszczalne różne interpretacje, poglądy. Tu nie.

R.: – *I profesor nie obrazi się, poprawiony przez, studenta?*

Paweł: – Myślę, że nie. Powie raczej – tak, ma pan rację. Nie wiem, czy w innej dyscyplinie wiedzy tak poważne grono słuchaczy przyszłoby na obronę prac uczniowskich. To jest coś naprawdę wspaniałego! Żadnego poczucia, że młody człowiek jest nikim, a profesor wszystkim. To też jest moje wielkie odkrycie z pobytu na zjeździe.

R.: – *Wasze uczniowskie prace były oceniane przez najlepszych fachowców z danej dziedziny. Pracę z topologii, której bronił twój starszy kolega, recenzował dyrektor Instytutu Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego.*

Paweł: – To mnie trochę onieśmielało. Przecież obronie naszych prac przewodniczył sam profesor Jeśmanowicz, który w dodatku... każdemu z nas narysował karykaturę. Byliśmy normalnymi gośćmi zjazdu, z prawem uczestniczenia na wszystkich posiedzeniach, wykładach. Zorganizowano specjalne spotkanie młodzieży kieleckiej ze wspaniałymi matematykami, którzy wspólnie z nami rozwiązywali pewne zadania. Często w szkole zwykły nauczyciel ma więcej dystansu do ucznia niż ci znakomici profesorowie do nas.

R.: – *Czy w swojej pracy posługiwałeś się komputerem?*

Paweł: – Tak. Na szczęście mam dostęp do komputera.

R.: – *Co byś radził swoim kolegom, którzy panicznie boją się matematyki?*

Paweł: – Nie warto się tak strasznie przejmować i mówić sobie: ja tego nigdy nie zrozumiem. Czasem trzeba posiedzieć nad zadaniem kilka dni i przyjdzie rozwiązanie. Potem już będzie łatwiej. Chyba ważne jest to pierwsze odkrycie, że się coś rozumie. I nie bać się! Nasz nauczyciel powtarzał, że matematyka szkolna jest całkowicie możliwa do opanowania przez przeciętnego ucznia. Trzeba dużo pytać nauczyciela lub najlepszych matematyków w klasie, prosić ich o wyjaśnienie i pomoc.

R.: – *Co robisz, gdy nie zajmujesz się matematyką?*

Paweł: – Uczę się wszystkich przedmiotów, oczywiście bez takiej pasji, ale po prostu, żeby nie odstawać od reszty. A dla relaksu jeżdżę do lasu. Bardzo lubię las i góry.

R.: – *Co jest w matematyce najprzyjemniejsze?*

Paweł: – To, gdy po kilku dniach, tygodniach błądzenia, nagle się stwierdza: rozumiem!

R.: – *Owa słynna „Eureka!" – znalazłem! – Archimedesa. A jak myślisz, kto wymyślił matematykę?*

Paweł: – Pewnie człowiek jaskiniowy, który musiał na przykład policzyć stado zwierząt.

R.: – *Czy wiesz, że w matematyce wielkich odkryć dokonywali najczęściej bardzo młodzi ludzie? A więc...?*

Paweł: – Och, ja jestem zaledwie na etapie poznawania rachunku różniczkowego i, jak narazie, jest to dla mnie rzecz szalenie skomplikowana.

R.: – *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiała JOANNA MŁYNARCZYK

PŁOMYKOTEKA

1

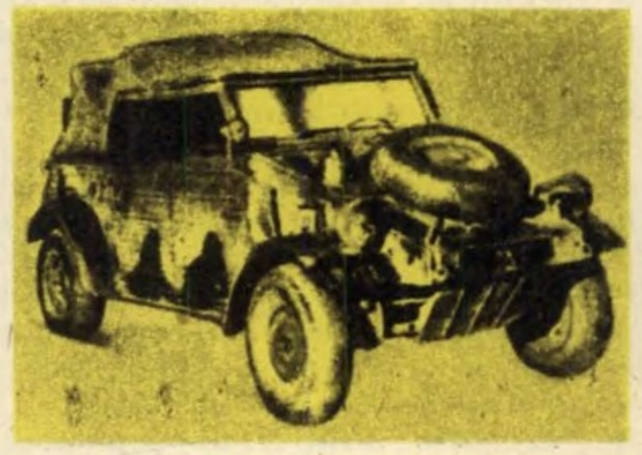

2

3

STARY GARBUS

Najbardziej znany model Volkswagena (VW) zyskał sobie u nas przezwisko „garbus" (Niemcy nazywają go „Käfer", czyli „chrząszcz"). Ten powstały przed przeszło pół wiekiem model zachował swoją zasadniczą konstrukcję do dziś, co uznać należy za zjawisko całkiem niezwykłe w dziedzinie techniki motoryzacyjnej. Jego wspaniały silnik, czterocylindrowy boxer, nadal dzielnie pracuje.

W roku 1934 konstruktor Ferdynand Porsche (na zdjęciu 1 widać go obok VW z 1936 r.) opracował prototyp garbusa. Ten super nowoczesny – jak na lata trzydzieste – mały, szybki i zużywający niewiele benzyny (8 litrów na 100 km) samochód powstał – o, zgrozo! – na zlecenie hitlerowskiego rządu. Propagowano go jako „wóz ludowy" (po niemiecku: Volkswagen) lansując przy tym hasło „Kraft durch Freude" (KdF), czyli: „Siła przez radość". Hitlerowcy lubili mocne hasła, które w końcu, jak dobrze wiemy, doprowadziły do wojny. W latach wojennych garbus stał się zmilitaryzowanym VW 82 (2). Pomalowany w maskujące łaty chrząszcz woził do roku 1941 wermachtowców po różnych wojennych drogach. Odznaczał się wielką wytrzymałością, dzielnie sobie dając radę w piaskach afrykańskiej pustyni, znosił też mrozy rosyjskie i kamienne bezdroża włoskie oraz rozmokłe drogi Normandii. Jedna z odmian chrząszcza nauczyła się nawet pływać otrzymawszy wmontowaną z tyłu śrubą i stając się amfibią.

Po wojnie garbus zmienił wojskowe łachy – przepraszam! – blachy na cywilne. Stopniowo unowocześniono nadwozie, zwiększono powierzchnię szyb (z przodu panoramicznie, z tyłu bez przegrody), masce nadano inny profil, wmontowano nowoczesną deskę rozdzielczą, wyposażono w komfortowe wnętrze, zastosowano radialne, szerokie opony itp. Jako relikt przeszłości pozostały wejściowe stopnie...

Piękny jest VW kabrio 1300 (3). Dzięki luksusowemu wykończeniu zaliczony został do klasy wozów średnich. Jego doskonała konstrukcja jest wykorzystywana nawet w niektórych unikatowych modelach, jak np. w trójkołowym motocyklu o tak wielkim

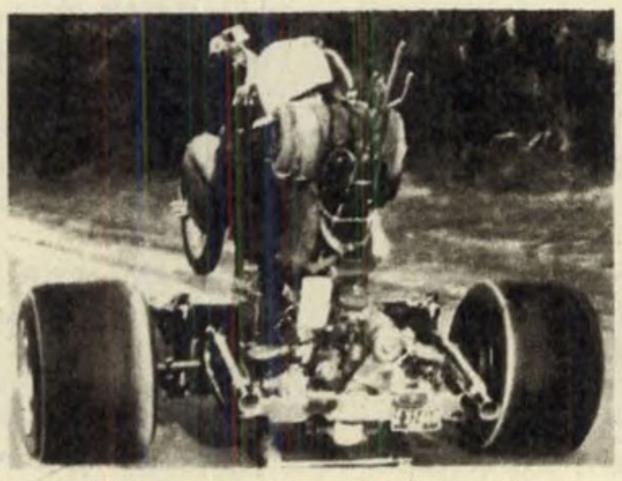

4

przyśpieszeniu, że lubi stawać dęba (4), albo w Buggy (5) uczestniczącym w rajdzie pustynnym koło Las Vegas (stan Nevada, USA), czy też w bajecznie kolorowej slalomowej wersji (6).

Na koniec informacja statystyczna potwierdzająca opinię, że jest to jeden z najpopularniejszych wozów świata. Otóż w latach 1934-84 zbudowano i sprzedano około 20 milionów sztuk VW. Tyle garbusów opuściło hale fabryczne, a wiele z nich ma długi żywot. W Europie zaprzestano obecnie produkcji garbusa. Produkowany jest jeszcze w Meksyku i Brazylii.

T.S.

5

6

SŁOWA i STÓWKA

Patent na lenistwo?...

Przyjrzyjmy się rzeczownikowi *patent* i pochodzącym od niego dwu przymiotnikom *patentowy* i *patentowany*. Ponieważ słowa te można dziś spotkać w najprzeróżniejszych tekstach, nietrudno o pomyłki w ich poprawnym stosowaniu i rozumieniu.

Zacznijmy od pochodzenia „ojca rodziny", tzn. od historii wyrazu *patent*. W średniowiecznej łacinie, czyli języku używanym przez wykształconych Europejczyków w wiekach średnich (po upadku Cesarstwa Rzymskiego), stosowano wyrażenie *litterae patentes*. Oznacza ono „list otwarty", czyli list skierowany do wszystkich zainteresowanych daną sprawą. Słowo *patent*, jak łatwo się domyślić, pochodzi od drugiej części tego wyrażenia, a dzisiejsze jego znaczenie ma wiele wspólnego ze znaczeniem tamtego średniowiecznego terminu.

Dziś wyraz *patent* kojarzy nam się przede wszystkim z wynalazkami. Nic w tym dziwnego, bo podstawowe znaczenie tego rzeczownika można określić następująco: „urzędowe, oficjalne pismo, akt prawny, w którym stwierdza się czyjąś prawną własność wynalazku, a także jego wyłączne prawo do korzystania z tego wynalazku". Można więc powiedzieć, że patent to swego rodzaju „list otwarty", w którym urzędowo stwierdza się, kto wynalazł jakąś rzecz.

Dawniej używano rzeczownika *patent* również w nieco innych znaczeniach. Dziś ślady tego pozostały w terminologii żeglarskiej i... dyplomatycznej. Patentem nazywają żeglarze i marynarze dokument potwierdzający określone umiejętności właściciela i uprawniający go do pełnienia odpowiednich funkcji na statku lub jachcie, np. po zdaniu specjalnych egzaminów można uzyskać patent sternika jachtowego. Na podobnej zasadzie w dyplomacji mówi się o patencie konsularnym, mając na myśli dokument nominacyjny konsula.

A czym się różnią od siebie dwa bliźniacze przymiotniki: *patentowy i patentowany?*

Wyrazu *patentowy* używa się w zasadzie tylko w ściśle określonych wyrażeniach, np. *biuro patentowe, urząd patentowy, rzeczoznawca patentowy*, a także *zamek patentowy* (rodzaj zamka do drzwi) itp. *Patentowany* natomiast to „taki, na który ktoś uzyskał patent", np. *patentowane wyroby, patentowane wzory*.

W języku potocznym przymiotnik ten występuje jednak w całkiem innym znaczeniu. Nie wszyscy zapewne słyszeli o wyrobach patentowanych, ale o patentowanych leniach, a także głupcach i osłach słyszał chyba każdy. W tych wyrażeniach przymiotnik *patentowany* należy rozumieć jako „zupełny, niepoprawny, niewątpliwy".

WIELOKROPEK...

Fot. kolor. Przemysław Wierzchowski

Classix Nouveaux

Rzadko zdarza się, żeby jakiś zespół muzyczny dłużej cieszył się popularnością za granicą niż we własnym kraju. W takiej właśnie sytuacji znalazła się brytyjska grupa Classix Nouveaux, o której w Wielkiej Brytanii jakby już zapomniano, a u nas święciła wielkie triumfy w czasie tegorocznych występów.

Założona w 1979 roku w Londynie przez wokalistę Sala Solo i gitarzystę basowego Mika Sweeneya, zdobyła najpierw powodzenie na listach przebojów Wielkiej Brytanii – swego rodzinnego kraju. Pierwsze dwa single „The Robots Dance" i „Nasty Little Gree Men" zwróciły na zespół uwagę jednego z największych na świecie wydawnictw płytowych – koncernu EMI. Droga do kariery stanęła przed grupą otworem...

W połowie 1981 roku Classix Nouveaux nagrywają swój pierwszy album „Night People", który zostaje później wydany aż w 27 krajach: od Szwecji zaczynając, na Boliwii kończąc. Podobnym powodzeniem cieszy się druga płyta zespołu „La Verite", z której pochodzi znany przebój „Is it a dream". Piosenki Classix Nouveaux docierają teraz na wszystkie światowe listy przebojów, ich płyty są rozchwytywane, a charakterystyczna postać i „fryzura", ostrzyżonego do gołej skóry, Sala Solo zyskuje sobie coraz więcej zwolenniczek...

Zespół odbywa olbrzymie tournée po krajach całej niemal Europy, odwiedza również Tajlandię, Japonię i Indie. Mimo licznych występów i długich tras koncertowych znajduje jeszcze czas na wydanie trzeciego longplaya – „Scret".

A jednak, chociaż popularność Classix Nouveaux trwa nadal, zespół zaczyna przeżywać poważny kryzys. Brak pomysłów, liczne zmiany personalne i wreszcie solowa kariera Sala Solo, który od połowy 1984 roku zaniedbuje trochę grupę, powodują, że dalsze losy zespołu stanęły pod dużym znakiem zapytania...

Na razie Classix Nouveaux jeszcze występują razem, ale w Europie Zachodniej, a zwłaszcza we własnym kraju – Wielkiej Brytanii – stracili wielu zwolenników i są już tam trochę zapomniani.

Za to popularność zespołu w Polsce zdaje się ciągle wzrastać. Członkowie grupy cieszą się i są tym jakby nawet trochę zaskoczeni – wielkim powodzeniem w naszym kraju. Darzą też szczerą sympatią polską publiczność. W sierpniu odbyli już trzecie tournée po Polsce, wystąpili na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, wydali – dzięki współpracy z naszym Tonpressem – swoją płytę.

Trudno powiedzieć, skąd wzięła się ta obopólna sympatia. Może to po prostu zasługa prostych, melodyjnych przebojów lidera grupy – Sala Solo, a może to jego – podobna trochę do polskiej – włoska, pełna fantazji natura...

Ostatnio ukazał się nowy singiel Classix Nouveaux – „Heart beat" („Bicie serca"), który na razie cieszy się powodzeniem tylko w Polsce. I może w tytule tej piosenki tkwi wyjaśnienie zagadki „polskiej popularności" zespołu: może mamy po prostu ten sam rytm serca...

VIOLETTA LEWANDOWSKA

PŁOMYKOTEKA

ROZSTRZYGNIĘCIE

FOTOKONKURSU Z LILIJKĄ

na zdjęcia o tematyce harcerskiej

ogłoszonego w nrze z 12 br.

SMACZNEGO! (*for. Grzegorz Bryk*)

Być może trudności z materiałami fotograficznymi sprawiły, że udział w konkursie nie był zbyt masowy. W sumie nadeszło kilkaset zdjęć od kilkudziesięciu uczestników. Najważniejsze jednak, że znalazło się wśród nich kilka zdjęć bardzo dobrych, a kilkanaście całkiem dobrych, które zamieścimy w „Płomyku", aby były wzorem i zachętą dla innych fotohobbistów.

Po rozpatrzeniu nadesłanych prac, nasze redakcyjne jury – wzmocnione udziałem phm Jarosława Kozińskiego, przedstawiciela wydziału Nauki i Rozwoju Zainteresowań GK ZHP – postanowiło: ZAKWALIFIKOWAĆ DO DRUKU W „PŁOMYKU" wybrane zdjęcia następujących autorów (w kolejności alfabetycznej): **Jacka Borkowskiego** z Oświęcimia, **Grzegorza Borowskiego** z Ostrowitego, **Grzegorza Bryka** z Kielc, **Marka Filipka** i **Zdzisława Kozłowskiego** z Białegostoku, **Michała Kopczewskiego** z Warszawy, **Andrzeja Kozłowskiego** z Białegostoku, **Dariusza Krzosa** z Lądka-Zdroju oraz zdjęcia z fotoreportażu nadesłanego przez **65 BDH „Płomienie"** przy Szkole Podstawowej nr 11 w Białymstoku.

Za każde zamieszczone w „Płomyku" zdjęcie autorzy otrzymają 1000-złotowe nagrody-honoraria.

Wydział Nauki i Rozwoju Zainteresowań GK ZHP ufundował nagrodę oraz dwa wyróżnienia w postaci bonów do zrealizowania w Centralnej Składnicy Harcerskiej.

GŁÓWNA NAGRODA (bon wartości 5000 zł) przyznana została **Grzegorzowi Brykowi** z Kielc za cykl zdjęć z harcerskich biwaków w Bieszczadach i na Kielecczyźnie.

DWA WYRÓŻNIENIA (bony wartości 2000 zł) otrzymują:

Michał Kopczewski (13 lat) za najlepsze zdjęcia w grupie młodszych uczestników, wykonane na letnim obozie harcerskim.

65 BDH „Płomienie" przy Szkole Podstawowej nr 11 w Białymstoku za fotokronikę obozu wędrownego.

Honoraria-nagrody prześlemy pocztą po wydrukowaniu (jeszcze w tegorocznych numerach) wybranych zdjęć. Również bony zostaną przekazane pocztą.

Dziękujemy za udział w fotokonkursie, zachęcając równocześnie wszystkich, którzy próbują swoich sił w fotografowaniu życia harcerskiego, szkolnego i w ogóle młodzieżowego, żeby – nie czekając na następny konkurs – nadsyłali swoje najciekawsze (ale technicznie bezbłędne) zdjęcia. Najlepsze będziemy zamieszczać.

CZYTELNIA POD DRZEWKIEM (*fot. Grzegorz Bryk*)

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nru 17: **Tylko głupiec nie ma wątpliwości**.
Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie wylosowali: *Artur Czajka* (Konin), *Jolanta Karolewicz* (Gostyń), *Aneta Kirejko* (Umkowice), *Elżbieta Lach* (Podwilk), *Joanna Korsak* (Giżycko), *Bożena Pletha* (Gdynia), *Agnieszka Wierzchowska* (Wrocław), *Monika Wiśniewska* (Bydgoszcz), *Katrzyna Winniczek* (Czarlin), *Agnieszka Woźniak* (Katowice).

GIEŁDA HOBBISTÓW nr 295

1. *Piotr Arczyński*, lat 15, starocie, rock, plakaty – ul. Grunwaldzka 39/28, 34-300 Bielsko-Biała
2. *Marta Bartnik*, lat 14, plakaty, rock, humor, wróżby – Budy Łańcuckie 236, 37-114 Białobrzegi
3. *Anna Czaprowska*, lat 15, muzyka elektroniczna, sport – ul. Chłopska 10d/6, 80-399 Gdańsk
4. *Sławomir Czyż*, lat 12, filatelistyka, sport, naklejki – Rybienko Nowe 21, 07-200 Wyszków
5. *Ala Doroszkiewicz*, lat 12, widokówki, plakaty, naklejki – LSRR, 234008, Wilnius-Rudamino, ul. Łaimies 17-1
6. *Krystyna Duda*, lat 15, biologia, moda, rock, plakaty, ul. Nad Jeziorem 14a, 34-300 Żywiec
7. *Małgorzata Dudkiewicz*, lat 12, plakaty, rock – ul. Konduktorska 1a/26, 00-775 Warszawa
8. *Elżbieta Dycha*, lat 13, II wojna światowa, filatelistyka, piosenki – ul. Kościelna 39/2, 76-032 Mielno
9. *Żaneta Erber*, lat 12, znaczki, pocztówki, humor, piosenkarze – ul. 15 Stycznia 4, 05-600 Grójec
10. *Ireneusz Fetela*, lat 12, kosmos, znaczki, piosenkarze – 28-504 Krzczonów
11. *Zofia Ficek*, lat 14, muzyka, znaczki, książki, plakaty – ul. Szkolna 101a, 42-512 Psary
12. *Marzena Fijałkowska*, lat 15, widokówki, znaczki, kalendarzyki – ul. Wyspiańskiego 5/6, 96-300 Żyrardów
13. *Joanna Filipowicz*, lat 14, muzyka, plakaty, sport – ul. Świerczewskiego 12/2, 16-020 Czarna Białostocka
14. *Urszula Florek*, lat 14, geografia, plastyka, muzyka – 34-615 Słopnice 797
15. *Bożena Glapa*, lat15, znaczki, muzyka – Żdżary 38, 88-430 Bolesławiec
16. *Tomasz Hałasz*, lat 14, elektronika, kulturystyka, sport motorowy, narciarstwo – ul. Wita Stwosza 37, 58-310 Szczawno Zdr.
17. *Joanna Jakubowska*, lat 14, widokówki, nalepki, muzyka – ul. Dąbrowszczaków 2/30, 76-270 Ustka
18. *Agata Jaros*, lat 15, geografia, książki, rock – ul. Chopina 3/90, 41-300 Dąbrowa Górnicza
19. *Anna Jekiełek*, lat 14, film, książki, zwierzęta – ul. Harcerska 13, 40-738 Katowice
20. *Anna Jęczmyk*, lat 12, znaczki, plastyka, bajki – ul. Chrobrego 6/37, 28-300 Jędrzejów
21. *Roman Jędrulek*, lat 13, malarstwo, wiersze, F. Chopin – ul Waniołki 14e/9, 43-400 Cieszyn
22. *Ewa Jurczyńska*, lat 14, chemia, przepisy kulinarne, plakaty – ul. Kilińskiego 54, 41-250 Czeladź
23. *Katarzyna Kłabińska*, lat 14, widokówki, komiksy, przepisy kulinarne – ul. XXX-lecia PRL 1/22, 06-500 Mława
24. *Barbara Kamińska*, lat 15, jęz. hiszpański, Ameryka Płd., wielcy żeglarze i podróżnicy, kwiaty – ul. Boh. Warszawy 16, 17-200 Hajnówka
25. *Małgorzata Kawińska*, lat 14, książki, horoskopy, znaczki – ul. Fornalskiej 13/33, 76-100 Sławno
26. *Adam Klucha*, lat 15, muzyka, sport, plakaty – ul. Miedziana 32, 82-200 Malbork
27. *Iwona Komorowska*, lat 12, książki, muzyka – ul. Fabryczna 4/11, 00-446 Warszawa
28. *Anna Konarzewska*, lat 12, geografia, pocztówki, książki – ul. Grunwaldzka 10/54, 18-300 Zambrów
29. *Aneta i Beata Konkol*, lat 14, rock, zespoły muzyczne – 36-021 Budziwoj 322
30. *Jan Kornecki*, lat 13, książki przygodowe, sport, rock – ul. Czerniakowska 18/74, 00-701 Warszawa
31. *Karolina Kowalska*, lat 14, Trojkąt Bermudzki, UFO, rock – ul. J. Conrada 7/74, 01-922 Warszawa
32. *Agnieszka Krasy*, lat 12, naklejki, plakaty piosenkarzy – ul. 3 Maja 43/34, 08-110 Siedlce
33. *Aldona Krawczyk*, lat 14, widokówki, naklejki, znaczki – Ciernierów 40, 62-437 Ruda Komorska
34. *Aleksander Kubarewicz*, lat 14, książki, H. Sienkiewicz, widokówki – LSRR, wileński rej., pta Mickunai, wieś Osiniki 3
35. *Anna Kudelska*, lat 14, znaczki, książki, rock, sport – ul. Sidorska 10/25, 21-500 Biała Podlaska
36. *Anna Kukałowicz*, lat 13, geografia, historia, biologia, moda – ul. Leszka Czarnego 5/37, 20-610 Lublin
37. *Magdalena Kulik*, lat 15, książki, zwierzęta, wiersze do pamiętnika – ul. Krakowska 66, 39-200 Dębica
38. *Honorata Lekka*, lat 12, medycyna, biologia, samochody, rock – 63-645 Łęka Opatowska 51
39. *Kinga Lipowska*, lat 12, widokówki, naklejki, rock – ul. Świerczewskiego 24, 56-100 Wołów
40. *Jolanta Ludwikowska*, lat 15, widokówki, plakaty, rock – 39-321 Tuszyna 325
41. *Jolanta Łopuszyńska*, lat 12, biologia, filatelistyka, humor – ul. Konopnickiej 29/26, 85-124 Bydgoszcz
42. *Elżbieta Majewska*, lat 12, historia, matematyka, geografia, biologia, pocztówki – 96-130 Człuchów 43
43. *Lidia Majewska*, lat 12, jęz. angielski, fotografika, plakaty – ul. Sucharskiego 4/16, 5-562 Zielona Góra
44. *Barbara Małek*, lat 13, jęz. rosyjski, rock, plakaty, moda – ul. Zawiejska 40, 37-411 Bieliny
45. *Joanna Marczak*, lat 14, pocztowki, plakaty, rock – ul. Żywnego 23/28, 02-701 Warszawa
46. *Monika Matuszewska*, lat 14, matematyka, chemia, poezja, jęz. angielski – 96-516 Szymonów
47. *Irena Martyniuk*, lat 12, jęz. francuski, pocztówki, kalendarzyki – ul. Lipowa 73a/29, 17-200 Hajnówka
48. *Maria Maziarka*, lat 12, kalendarzyki, wiersze do pamiętnika, plakaty, rock – 33-162 Lubczy 173
49. *Lidia Mazurek*, lat 13, harcerstwo, psy, rock – ul. Gwardii Ludowej 93/5, 65-536 Zielona Góra
50. *Małgorzata Mączyńska*, lat 15, wpisy do pamiętnika, piłka nożna, rock – Julinki, 99-315 Strzegocin k. Kutna
51. *Renata Mendelska*, lat 13, sport, muzyka, plakaty – Os. 1000-lecia 13/60, Jastrzębie VI, 44-268 Katowice
52. *Justyna Mięsowska*, lat 13, książki, humor, plakaty zesp. muz. – ul. Dębowa 3/C/5, 83-400 Kościerzyna
53. *Grażyna Nowak*, lat 15, pocztówki, plakaty, rock, sport – ul. H. Jagodnica 30, 95-071 Łódź
54. *Barbara Ochlak*, lat 14, medycyna, widokówki, plakaty – Nowe Miasto Lub., 13-300 Gwiździny
55. *Piotr Oleniak*, lat 13, sport, plakaty, rock – ul. Kopernika 12/85, 39-400 Tarnobrzeg
56. *Grażyna Paradowska*, lat 14, sport, plakaty zespołów, rock – ul. Zagórska 44/26, 25-358 Kielce
57. *Anna Piątkowska*, lat 15, znaczki, widokówki, rock – ul. Sportowa 2/17, 63-000 Środa Wlkp
58. *Małgorzata Pietrasik*, lat 15, pocztówki, new romantic – ul. Grabiszyńska 317/13, 53-236 Wrocław
59. *Anna Piotrowska*, lat 14, humor, pocztówki – Natolin 32, 26-632 Rajec
60. *Ola Pławecka*, lat 15, kosmos, jęz. ros., widokówki – ul Tysiąclecia 92/136, 40-871 Katowice
61. *Dorota Prosicka*, lat 14, muzyka, zwierzęta, sport – ul. Tykocińska 6, 18-218 Sokoły
62. *Izabela Roszczyk*, lat 14, film, książki, Shakin Stevens, Michael Jackson – ul. Daniłowskiego 32/2, 01-833 Warszawa
63. *Dorota Rybicka*, lat 14, książki, przepisy kulinarne, plakaty, rock – ul. Turlejskiego 2a/35, 18-400 Łomża
64. *Anna Rynkiewicz*, lat 14, znaczki, pocztówki, rock – Nomiki 33, 16-105 Malawicze Dolne
65. *Barbara Sawiel*, lat 13, nalepki, widokówki, LSRR, 234086, rej. Soleczniki, pta Butrymańce, wieś Janczuny
66. *Małgorzata Sitko*, lat 13, humor, rock – ul. Krakowska 51a/24, 33-100 Tarnów
67. *Monika Siurek*, lat 15, biologia, sport, muzyka – Os. Ogrody 37/87, 27-400 Ostrowiec Św.
68. *Celina i Renata Siwiel*, lat 14, poezja, pocztówki (koty), rock – ul. Obożna 13/38, 22-400 Zamość
69. *Barbara Skarupa*, lat 12, znaczki, plakaty, książki – ul. Nowa, 63-434 Granowiec
70. *Anna Skopińska*, lat 13, historia (Włochy, Indianie) – ul. Łagiewnicka 102/110 m. 97, 91-456 Łódź
71. *Krzysztof Smoczyński*, lat 13, sport, prospekty, rock – ul. Makowska 66/16, 06-301 Przasnysz
72. *Agnieszka Sołoducha*, lat 15, plakaty (Shakin Stevens) – ul. Ludów Śląskich 35, 57-103 Zielenice
73. *Katarzyna Sołtysiak*, lat 12, filatelistyka, moda, plakaty – ul. Miczurina 5/49, 58-304 Wałbrzych
74. *Monika Sójka*, lat 13, muzyka, pocztówki, plakaty – 24-311 Rogów
75. *Katarzyna Sroczyńska*, lat 14, jęz. angielski, humor, plakaty – ul. Skopenki 8/58, 37-450 Stalowa Wola
76. *Joanna Staniszewska*, lat 13, biologia, filatelistyka, plakaty – ul. Poniatowskiego 10/30, 05-870 Błonie
77. *Karolina Stańczyk*, lat 14, historia, muzyka – ul. Derdowskiego 30/4, 80-310 Gdańsk Oliwa
78. *Marzena Suzonowicz*, lat 14, znaczki, plakaty, monety, sport – ul. Partyzantów 13, 21-221 Horodyszcze
79. *Marta Szołczyńska*, lat 13, widokówki, znaczki, naklejki – Świerznica, 78-331 Rąbino
80. *Anna Szwajnoch*, lat 15, numizmatyka, znaczki, widokówki – ul. Obr. Stalingradu 120/86, 40-613 Katowice
81. *Elżbieta Szyszka*, lat 13, widokówki, znaczki, plakaty – ul. Grochowa 23/82, 25-606 Kielce
82. *Ilona Szymańska*, lat 13, znaczki, pocztówki, przyroda – ul. Filipa de Girarda 14/25, 96-300 Żyrardów
83. *Agnieszka Ślaz*, lat 13, widokówki, plakaty, zesp. muzyczne – 08-105 Hołubla
84. *Bogusława Tełuszecka*, lat 12, książki, pocztówki, kalendarzyki, znaczki – ul. Spadowa 11, 17-200 Hajnówka
85. *Sławka Terebun*, lat 14, jęz. rosyjski, rock – ul. Świerkowa 52, 17-300 Siemiatycze
86. *Urszula Tryskuć*, lat 13, haft, przepisy kulinarne – 16-025 Krypno 110
87. *Ewa Turowska*, lat 14, pocztówki – ul. Mazowiecka 28, 18-300 Zambrów
88. *Monika Wasilewko*, lat 12, jęz. francuski, filatelistyka, humor, sport – ul. Strzelecka 6/52, 97-200 Tomaszów Maz.
89. *Bernadeta Wawrzeczko*, lat 15, chemia, biologia, rock – ul. Sikorskiego 7/11, 43-400 Cieszyn
90. *Agnieszka Wąsacz*, lat 15, muzyka, plakaty, sport, psy – ul. Inżynierska 77/6, 53-230 Wrocław
91. *Marzena Wojciechowska*, lat 14, egiptologia, japonistyka, poezja – ul. Sadkowska 8/70, 26-600 Radom
92. *Grażyna Wojtyła*, lat 13, muzyka, plakaty, sport – Os. 1000-lecia 14/39, Jastrzębie VI, 44-268 Katowice
93. *Bożena Wrońska*, lat 13, widokówki, plastyka, humor, muzyka – ul. Browarna 12, 26-200 Końskie
94. *Anna Wyrzykowska*, lat 14, siatkowka, rock, nalepki – ul. Wrzosy 26/c/6, 80-618 Gdańsk-Stogi
95. *Agnieszka Zając*, lat 13, znaczki, humor, pocztówki – ul. Szopena 65, 22-600 Tomaszów Lub.
96. *Dorota Zalewska*, lat 13, przyroda, sport, muzyka – 87-523 Trąbin
97. *Joanna Zdanowicz*, lat 14, chemia, humor, plakaty, sport – Sochonie 44a, 16-010 Wasilków
98. *Dorota Ziemba*, lat 13, matematyka, moda, znaczki – Bukowina 51, 37-411 Bieliny
99. *Elżbieta Żylewicz*, lat 13, biologia, haft, widokówki, rock – ul. Armii Czerwonej 30/3, 66-400 Gorzów Wlkp.
100. *Dorota Żyłka*, lat 13, biologia, historia, widokówki, sport – ul. Wróblewskiego 6/1, 32-602 Oświęcim

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł
rocznie	480 zł

WARUNKI PRENUMERATY

- **Dla prenumerat indywidualnych:**
  - osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
  - osoby zamieszkałe w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora; wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty";
- **Dla instytucji i zakładów pracy:**
  - instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w tych oddziałach;
  - instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
- Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11; prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
- **Termin przyjmowania prenumeraty** na rok 1986 – na II kwartał – do 28.II; na III kwartał i na II półrocze – do 28.V; na IV kwartał – do 30.VIII

Dwutygodnik dla młodzieży
10 listopada 1985 – Warszawa

Skład oraz druk wykonały Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.

Nakład 350 000 egz.
Zam. 3786/CD. N-25

ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka pocztowa 380

TELEFONY
26-24-31 w. 82 lub 80
26-26-31 (redaktor naczelny)

INDEKS: 36876

KRZYŻÓWKA z IDOLEM

Objaśnienia haseł na str. 18

SAL SOLO
(o Classix Nouveaux piszemy na str. 21)
Fot. kolor. Przemysław Wierzchowski

CENA 20 zł